

Spokojnych i pogodnych świąt Czytelnikom i Przyjaciółom życzy zespół „Odgłosów”

Nr indeksu 36762 PL ISSN 0472-5042

Łódź tygodnik społeczno-kulturalny **Odgłosy**

NR 52-53 (1656-1657) ROK XXXII 24-31 GRUDNIA 1989 ROKU CENA 400 ZŁ



rys. Dariusz Romanowicz

Z tej ziemi

Leczyć tyfusem???

17.12.1989

1.

Jeden z moich przyjaciół zażądał kategorycznie:
— Na święta napisz coś optymistycznego!

Łatwo powiedzieć — pomyślałem, przypominając sobie, że niedługo modna była piosenka, w której autor przekonywał, że o kochaniu łatwo się mówi. Skąd teraz wziąć optymizm? Czas tak dalece się zmienił, że niegdyś przekonywano nas, że będzie lepiej, już to lepiej niemal było widać, teraz wmawia się nam, że będzie gorzej i jest gorzej. Gdzie zatem szukać optymizmu?

Wicepremier Leszek Balcerowicz przemawiając na otwarciu kilkudniowego posiedzenia Sejmu PRL, nie ukrywał, że proponowane zmiany gospodarcze spowodują przejściowe obniżenie poziomu życia, to jednak za tym obniżeniem ma się wyłonić lepszy dla wszystkich okres życia. Pytanie tylko, ile będzie trwał ten „przejściowy okres”, po którym ma być lepiej? I drugie pytanie: czy ta obietnica jest prawdziwa, bo już wielokrotnie obiecywano nam niemal „raj na ziemi”, a dostawaliśmy piekło. I teraz wielu ludzi, którzy w ten „raj” uwierzyli, plują sobie w brodę i ma „moralnego katka”. Trudno więc dziwić się, że ludzie nie są skoryzy wierzyć w każde zapewnienie, w każdą obietnicę i dmuchają na zimne. A z drugiej strony bez odrobiny optymizmu trudno się żyje.

2.

Szedłem sobie wczoraj wieczorem ulicą Juliana Tuwima. Mijało mnie dwóch mężczyzn i kobieta. Mimo woli usłyszałem zdanie wypowiedziane przez kobietę.

— Ja do działań rządu nie odnoszę się, mówię tylko o tym, co tu się, na dole dzieje, a tu nie się nie zmienia, urzędy i instytucje nadal pracują po staremu...

Chciałem wykrzyknąć: — Ma pani całkowitą rację! — ale powstrzymałem się. Nie należy wtrącać się do cudzych dyskusji. Cytując wszakże usłyszaną mimo woli zdanie nieznajomej kobiety, mogę teraz napisać, że się z nią zgadzam. Od dawna piszę bowiem — można to sprawdzić — że nasze wszelkie instytucje ustawione są do wewnątrz, że służą bardziej sprawozdawczości i zwierzchności niż klientom i klientom, że nasz handel urzęduje a nie handluje, że nikomu nie się nie opłaca, że mało kto chce ujawnić swoją przedsiębiorczość, a jeśli już to w pośrednictwie, że... Co tu dalej wliczać? Jak jest każdy wie, jeśli ma coś do załatwienia, kupienia, przedsięwzięcia.

Rozumiem, że zmiany muszą objąć nie tylko całą administrację, ale i całą gospodarkę, że musi ona zacząć pracować na innych niż do tej pory zasadach. Nasze życie społeczne, polityczne i gospodarcze musi stać się normalnym, musi zacząć funkcjonować na normalnych zasadach. Już Mieczysław F. Rakowski ze swym rządem chciał z głowy wszystko stawiać na nogi, ale mu się to nie udało. Nie miał społecznego poparcia. Rząd Tadeusza Mazowieckiego poparcie to ma i — mam wrażenie — zdaje sobie sprawę z ryzyka i ogromu przedsięwzięcia.

Rzecz bowiem nie tylko w tym, że zacząć muszą działać określone zasady, według których patent i klient są dla przedsiębiorcy i dla człowieka za swą pracę jest należycie wynagradzany i ma prawo do takiego życia, jakie mu najbardziej odpowiada. Hasła, zapewnienia i deklaracje muszą stać się praktyką. Ale aby tak się stało — musi zmienić się sposób myślenia wielu ludzi. Urzędnik nie może na widok wchodzącego klienta mieć już gotowej odpowiedzi: — Nie! — Ale powinien zapoznać się ze sprawą i stać się pomocnikiem, służyć (a dlaczego, nie) i przewodnikiem klienta w załatwianiu jego sprawy. Sprzedawca pomocnikiem i doradcą klienta. Milicjant — obrońcą obywateli. Kierowca autobusu MPK czy PKS miłym dla pasażerów przewoźnikiem.

Czy to są nierealne marzenia? Nie wydaje mi się. Jeśli ci, którzy nam służą, będą widzieli w tym swój interes, to nie wyda im się to takie dziwne i niemożliwe. Ale u nas ciągle jeszcze nie płaci się za pracę tak, jak by to należało robić. Przynajmniej nie wcale i nie wszystkim.

3.

Byłem przeciwny specjalnym uprawnieniom dla rządu Zbigniewa Messnera i nie pałam entuzjazmem dla takiego uprawnienia, dla rządu Tadeusza Mazowieckiego. Moje obiekcje biorą się stąd, że nawet najbardziej idealny rząd pozbawiony społecznej kontroli może łatwo popełniać te wszystkie błędy, jakich byliśmy świadkami do tej pory. Proces ustanawiania nowych praw jest długi i skomplikowany. Inflacji nie da się zdławić etapami. Trzeba to zrobić szybko i skutecznie. Ludzie zaczynają się denerwować ciągłym kryzysem. Drażni ich proces niezahamowanego wzrostu cen, drożyzna, rosnące ubóstwo przy niepokonywanym dążeniu do ciągłego świętowania. Może to w końcu wyczerpać kredyt zaufania dla rządu Tadeusza Mazowieckiego i dlatego Lech Wałęsa zaskakuje wszystkich propozycjami nadania temu rządowi specjalnych pełnomocnictw.

Opozycja niegdyś bezustannie domagała się poddania całości życia politycznego i gospodarczego społecznej kontroli. Taka kontrola miała być skutecznym sposobem unikania wszelkich błędów. Jeśli społeczna kontrola miała być dobrym sposobem unikania błędów w poprzednim układzie politycznym, to dlaczego dziś straciła swoje znaczenie?

4.

Przed wielu laty pracowałem z Henrykiem Rudnickim w „Głosie Robotniczym”. Był moim kierownikiem w dziale miejskim. Lubiał po pracy opowiadać różne facecje. Kiedyś opowiedział o wymyślonym przez siebie sposobie na leczenie syfy. Otóż — jego zdaniem — trzeba byłoby wszystkim ulica po ulicy dom po domu, mieszkanie po mieszkaniu zaszczerpieć tyfus. Choroba ta wytręsiłaby wszystkich i syf zginąłby bezpowrotnie.

5.

Gospodarka jest chora. Potrzeba jej radykalnej i skutecznej kuracji. Coś w rodzaju owego tyfusu, o którym mówił mi przed laty Henryk Rudnicki. Lekarze naszej gospodarki — a jest ich niemało — powiadają, że przebieg leczenia będzie bolesny, ale ma być skuteczny. Każdy lekarz tak mówi i pacjent musi mu wierzyć. Nie ma innego wyjścia. Praktyka dopiero pokaże, czy lekarz wystawił właściwą diagnozę i czy dobrał właściwy sposób leczenia? Ryzyko jest zawsze. Ale tym razem „końskiej kuracji” ma być poddane społeczeństwo. Czy można dziwić się, że nie przejawia entuzjazmu, że grozi w przyszłości — gdyby na przykład kuracja przedłużała się lub była bardziej bolesna niż to oczekiwano — buntom? Czy zatem nie byłoby lepiej, gdyby leczenie to odbywało się jednak pod społeczną kontrolą? Kontrolę tę sprawowałby Sejm PRL i związki zawodowe.

6.

Za niedługi czas zbierze się XI Nadzwyczajny Zjazd PZPR. Ma on zakończyć działalność partii i powołać do życia nową. Jaka to będzie partia? Powstało 200 propozycji programowych i tyleż samo propozycji nowej nazwy.

Nowa partia — jak by się nie nazywała — musi zdecydowanie odciąć się od przeszłości, dokonać rzetelnej i krytycznej oceny przeszłości, wybrać taki zestaw tradycji, który nie budzi żadnych wątpliwości i przyjąć taki program, który znalazłby w przyszłości społeczne poparcie. Ta partia musi zająć należne jej miejsce w pluralistycznym systemie politycznym, który nie może funkcjonować prawidłowo ani bez prawicy, ani bez lewicy. Nowa — podkreślam: nowa — partia musi też określić swój stosunek do innych partii tak na lewicy, jak i na prawicy. Z kim może wchodzić w ewentualną koalicję, a z kim jest to wykluczone?

W pełni podzielam pogląd, że to nie może być tylko zmiana szyldu. To ma być nowa partia, socjalistyczna!

Życzę spokojnych świąt!

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

W panoramie dziejów ludzkich uderza różnorodność i zmienność form społecznych. Poszczególne cywilizacje mają specyficzne wartości, systemy gospodarcze, polityczne, obyczajowe, religijne. Wszystkie jednak charakteryzują się takim samym cyklem życiowym jak zwierzęta i rośliny. To znaczy: rodzą się, rozwijają, dojrzewają, starzeją i umierają. O ich minionej świetności świadczą później jakieś zabytki, ruiny, wykopaliska, przekazy pisemne i ustne.

Nie ulega wątpliwości, że każda instytucja czy formacja ma określone granice trwania. Żadne wysiłki nie są w stanie uratować tego, co wyczerpało swoje możliwości, co się przeżyło, co obiektywne prawa skazały na zagładę. Budzi to w nas uczucie smutku; rodzi myśl o znikomości ludzkich wytworów. Nie zawsze potrafimy pocieszyć się faktem, że śmierć starego jest równocześnie początkiem nowego życia. Żal nam, że bezpowrotnie przeminęły niektóre osoby, rodziny, osiedla, instytucje, państwa.

Najpiękniejszą chyba wizję artystyczną rozwoju cyklicznego przedstawił Gabriel Garcia Marquez w powieści „Sto lat samotności”. Pablo Neruda ocenił to dzieło jako najważniejsze w języku hiszpańskim od czasów znakomitego „Don Kichota” Miguela de Cervantesa. Autor otrzymał wreszcie w 1982 roku literacką Nagrodę Nobla.

Arcydzieło pisarza kolumbijskiego jest opowieścią o burzliwych dziejach rodu Buendíów i miasteczka Macondo. Na 352 stronach śledzimy czas ich narodzin, rozkwitu, kryzysu i upadku. Gabriel Garcia Marquez wprowadza nas w magiczny świat kultury latynoamerykańskiej, w którym dzieją się liczne cuda i wydarzenia przypominające mity biblijne. Największym cudem jest wniebowstąpienie z ciałem i duszą Pięknej Remedios — dziewczyny zabezpieczonej już w łonie swej matki przed jakakolwiek zarzą. Jest to „realismo magico”, gdyż każda linijka tekstu ma jakieś oparcie w rzeczywistości.

„Pragnęłam namalować wizję mojego dzieciństwa — wyznał autor — obraz ogromnego domu pełnego smutku, w którym mieszkałam wraz z sześciorgiem rodzeństwa: z siostrą mającą zwiędniętą ziemię, z babcią przepowiadającą przyszłość i z niezliczoną ilością krewnych o jednakowych imionach, którzy nie byli w stanie zrozumieć różnicy między szczęściem a ośpieniem”.

Na przykładzie Macondo można sobie uświadomić nieuchronny los każdej cywilizacji. Podobne cykle rozwojowe spotykamy we wszystkich epokach historycznych i regionach świata. Prawo narodzin i śmierci ma bowiem charakter uniwersalny. Świat kręci się w kółko.

1. Czasy prehistoryczne

Główni bohaterowie powieści, Jose Arcadio Buendía i Urszula Iguaran, wychowali się w miasteczku u podnóża gór. Pobrali się z miłości, choć byli kuzynami i zachodziła obawa, że spłodzią potworki: dzieci ze świńskim ogonem bądź iguany.

Ostrzeżona przez matkę Urszula uniemożliwiła mężowi dopełnienie małżeństwa. Na noc wkładała specjalne spodnie z żaglowego płótna, umocnione rzemieniami i zamknięte z przodu metalową kłamrą. W rok po ślubie była jeszcze dziewicą. Stało się to powodem nieszczęścia. Oskarżony o impotencję Jose Arcadio zabił jednego z mieszkańców.

Małżonkowie musieli opuścić rodzinne miasto. W grupie dwudziestu jeden osób wyruszyli na poszukiwanie „ziemi, której nikt im nie obiecywał”. Po niemal dwóch latach wędrówki przez góry pierwsi z ludzi osiągnęli zachodnie zbocze łańcucha. Przed nimi była ogromna równina wielkich mokradeł. Tutaj postanowili się osiedlić.

2. Skromne początki Macondo

Na brzegu rzeki zbudowali dwadzieścia chat z trzciny obplecionej gliną. Wiele rzeczy nie miało jeszcze wtedy nazwy. Świat był bardzo młody. Jose Arcadio spełniał w nim rolę patriarchy. Radził innym, jak wychowywać dzieci, obsiewać pola, hodować zwierzęta. W rozumny sposób wytyczał ulice. I pracował też fizycznie dla dobra gminy.

W ciągu zaledwie paru lat liczba ludności Macondo wzrosła do trzystu. Mieszkańcy wsi nie mieli kontaktów z innymi osadami. Żyjąc w całkowitej izolacji od świata wszyscy byli pracowici i szczęśliwi. Nikt jeszcze nie przekroczył 30 lat i nikt nie umarł.

3. Awans cywilizacyjny

Rajskie życie pionierów skończyło się z powodu kobiety. Urszula Iguaran udała się na poszukiwanie najstarszego syna, który z młodą Cyganką opuścił dom. Po blisko pięciu miesiącach wrócił z tłumem obcych ludzi. Okazało się, że na przeciwnym krańcu mokradeł, zaledwie dwa dni drogi od Macondo, znajdują się osiedla, do których dociera poczta i gdzie znane są maszyny ułatwiające życie.

Wraz z napływem emigrantów zapadła wieś przekształciła się w miasteczko z handlem i rzemiosłem. Macondo stało się częścią szerszego systemu gospodarczego, politycznego i kulturalnego. Przybył przedstawiciel władzy państwowej oraz ksiądz katolicki. Ten ostatni przeraził się bezbożnością mieszkańców. Aby przekonać ich do Kościoła, musiał dokonać cudu. Wypił filiżankę gorącej czekolady i wznosił się na wysokość dwunastu centymetrów. Potem powtarzał cud lewitacji i zbierał pieniądze na budowę świątyni. Jeden tylko Jose Arcadio pozostał niewierzący. Utrzymywał, że Bóg nie istnieje, a ksiądz po prostu odkrył czwarty stan materii.

4. Wojna domowa

Odkrycie przez Urszulę Iguaran drogi przez moczary było swoistym grzechem pierworodnym. Macondo znalazło się w nurcie historii. Poprawił się niby poziom życia, ale przyszły też nieszczęścia. Najpierw nawiedziła miasteczko zaraza bezsenności. A później wybuchła okrutna wojna między liberałami i konserwatystami. Młodszy syn Buendíów, Aureliano, stanął na czele rebeliantów. Agent liberałów jasno wytłu-

maczył mu, dlaczego „mordowanie konserwatystów jest obowiązkiem patriotycznym”.

Wojna trwała prawie dwadzieścia lat. W jej trakcie pułkownik Aureliano Buendía uświadomił sobie trzy ważne sprawy. Po pierwsze, że walczy nie tyle o urzeczywistnienie ideałów, lecz głównie z powodu dumy. Po drugie, że działacze partii mniej przejmują się ideałami, a bardziej władzą. Po trzecie, że posiadanie wielkiej władzy czyni człowieka samotnym. Jego rozkazy wykonywano szybciej niż zdążył je wymyślić i sięgały dalej niż sam pragnął. Do nikogo nie miał zaufania. W dowództwie rebelii znaleźli się bardzo różni i dość przypadkowi ideowo ludzie. Niektórzy wcale nie wiedzieli, o co walczą.

Najgorsze zaś polegało na tym, że opracowane przez polityków warunki pokoju ukazywały bezsens wojny. W celu pozyskania jak

gl, którego uznano za agenta międzynarodowego spisku. Napiecie w mieście rosło. Zarzuty pracowników były słuszne, lecz wynajęci przez Kompanię Bananową „czarnoksiężnicy prawa” obalili je w sposób przypominający „sztukę czarnoksiężską”. W okresie Bożego Narodzenia obok niedźnych baraków robotniczych ustawiono tylko przenośne klozety, po jednym na pięćdziesiąt osób, zamiast wybudować latriny.

W miasteczku wybuchł strajk powszechny. Odpowiedzią rządu było ogłoszenie stanu wojennego. Trzy regimenty żołnierzy miały zaprowadzić porządek i wznowić załadunek bananów. W specjalnym dekreście Naczelnika Cywilnego i Wojskowego prowincji ogłoszono strajkujących robotników „bandą złoczyńców” i upoważniono armię do użycia broni palnej.

Na apel władz grupa robotników z żonami i dziećmi zebrała się przed stacją. W radosnej

„To, co było, jest tym, co będzie, a to, co się stało, jest tym, co znowu się stanie: więc nic zgoła nowego nie ma pod słońcem” (Koh 1,9)

Prawo siedmiu pokoleń

EDMUND LEWANDOWSKI

największej części narodu manewrami taktycznymi zagubiono ideały rewolucji. Wyszło na jaw, że jedynym celem walki była władza. A ideały i hasła politycy obracają „wierzchem lub podszewką do góry, zależnie od okoliczności”.

Tak się złożyło, że pułkownik Aureliano Buendía zaprzysiął się z generałem konserwatystów Moncada. Obaj zaczęli zastanawiać się nad tym, żeby z każdej doktryny włączyć najlepsze elementy, zlikwidować wpływ wojska oraz polityków zawodowych i wprowadzić humanitarny ustrój społeczny. Pewnego razu Moncada powiedział mu:

„Martwi mnie to, że przez tę nienawiść do wojskowych, przez to ciągłe ich zwalczanie, to nieustające myślenie o nich, stałeś się w końcu taki sam jak oni. W życiu nie ma ideału, który wart byłby takiego upodlenia”.

5. Strajk i stan wojenny

Z czasem Macondo otrzymało połączenie kolejowe. I zaczęli przybywać Amerykanie, aby hodować banany. Zmienili oni gruntownie życie mieszkańców. Przesunęli i uregulowali koryto rzeki, przyspieszyli cykl zbiorów. Wybudowali własne, ogrodzone drutem miasteczko, które wyrosło po drugiej stronie torów. Amerykanie dysponowali środkami znanymi dotąd tylko Opatrzności Boskiej. Ale wraz z ich cywilizacją pojawiła się skrajna demoralizacja. Macondo zamieniło się w Sodomę i Gomorę. Zalał je tłum awanturników i prostytutki. Odbływały się bójki i strzelaniny. W biały dzień uprawiano miłość na ulicy.

Przedsiębiorcy z USA brutalnie wyzyskiwali robotników. Na czele niezadowolonych stanął prawnuk Urszuli Iguaran — Jose Arcadio Dr-

atmosferze oczekiwano pokojowego rozwiązania konfliktu. A tymczasem wojsko otworzyło ogień z karabinów maszynowych. Doszło do straszliwej masakry spokojnego tłumu. Zabito około trzy tysiące mężczyzn, kobiet i dzieci. Trupy załadowano do pociągu i potajemnie wywieziono w kierunku morza. Natomiast w rządowych środkach masowego przekazu podano, że „nie było zabitych i robotnicy zadowoleni powrócili do swoich rodzin”. Ta kłamliwa wersja znalazła się później w podręcznikach historii.

W nocy po masakrze spadł ulewny deszcz. Padało jeszcze przez następny tydzień. W prowincji nadal obowiązywał stan wojenny. W ciągu dnia żołnierze bawili się z dziećmi, a nocami wdzierali się do mieszkań w poszukiwaniu „złoczyńców, morderców, podpalaczy i buntowników”. W ten sposób — wbrew zapewnieniom — dokonano eksterminacji przywódców związkowych. Oficjalnie zaś poinformowano, że działacze związkowi ożywiłi patriotyzmem ograniczyli swoje żądania.

6. Potop

Po trzech miesiącach suszy i niepewności przyszły apokaliptyczne deszcze. Wydawało się, że ryby mogłyby wpływać drzwiami i wypływać oknami. Padało aż cztery lata, jedenaście miesięcy i dwa dni. Mieszkańcy już przyzwyczaili się, że okresy mżawki zapowiadają kolejne ulewne, niszczycielskie burze i huragany. Potop doprowadził Macondo do ruiny, lecz uwolnił mieszkańców od amerykańskiej Kompanii Bananowej. Potem deszcz nie padał już przez 10 lat.

„W grzęzawiskach na ulicy pozostały potłamane meble, szkielety zwierząt, z których

wykwitwały kolorowe lilie, ostatnia ślady hordy najeźdźców, którzy uciekli z Macondo równie nagle, jak przybyli. Domy, budowane z takim pospiechem podczas gorączki bananowej, stały pustką. Z dawnego państwa za drutami zostały tylko szczątki. Drewniane domy, cieniste tarasy, gdzie upływały pogodne popołudnia na grze w karty, wydawały się zmiecione podmuchem zwiastującym ów biblijny wiatr, który wiele lat później miał zgładzić Macondo z powierzchni ziemi”.

7. Upadek rodu i miasta

Na ogół sądzono, że wyjazd Amerykanów przyczynił się do upadku miasteczka. Zaprzeczali temu stanowczo prapraprawnuk Urszuli Iguaran — Aureliano Babilonia. Wbrew powszechnej opinii twierdził, że Macondo rozwijało się dobrze. Natomiast amerykańska Kompania Bananowa wprowadziła wyzysk, korupcję i zamęt. Jej inżynierowie wywołali potop, żeby uniknąć realizacji postulatów robotniczych.

Pogrążający się w ruinie dom Buendíów postanowiła ratować prapraprawnuczka Urszuli Iguaran — Amaranta Urszula. Była kobietą nowoczesną i bez przesądów. Porzuciła swego męża dla spokrewnionego z nią Aureliana Babilonii. Sprowadziła stolarzy, murarzy i ślusarzy. Ale dom i tak walił się. Ustępował przed inwazją mrówek, mchu, pajęczyny i kurzu. Nie można bowiem uratować społeczności, którą „upodobał sobie zły los”.

Upadek rodu Buendíów i miasta Macondo był nieuchronny. Urszula Iguaran sądziła, że zdecydowały o tym cztery plagi: wojna domowa, walki kogutów, kobiety lekkiego prowadzenia i obłąkające pomysły. Poza tym doświadczenie nauczyło ją, że historia rodziny jest kołem, które „obracaloby się w nieskończoność, gdyby nie postępujące i nieodwracalne zniszczenie osi”. A zatem wszystko ma granicę trwania: zużywa się, przeżywa i ginie. Nie da się odróżnić tego, co prawa życia skazały na zagładę.

Gabriel Garcia Marquez sugeruje, że przyczyną upadku było również zło tkwiące w samych ludziach. Członkowie rodu Buendíów czuli się osamotnieni, a samotność wykluczała solidarność. Stąd wynikała frustracja rodziny i całej społeczności. Jedynym antidotum na samotność mogła być miłość oraz wyzbycie się dumy, pychy i zakłamania.

Prawda czy fikcja?

Nie wszyscy wiedzą, że pierwowzorem Macondo jest rodzinne miasteczko pisarza — Aracataca, leżące nad rzeką Magdalena, między górami a morzem, w kolumbijskiej prowincji Magdalena. Panują tam rzeczywiście wielkie upały i ulewne deszcze. Na początku stulecia, za kadencji prezydenckiej gen. Rafaela Reyesa (1904—1910) w całej dolinie rzeki Amerykanie przystąpili do uprawy bananów. Gabriel Garcia Marquez wspomina:

„Wraz z towarzysztwem bananowym zaczęli przybywać do tego miasteczka ludzie z całego świata i to było niesamowite, bo nastał taki czas, że w tej miejscowości na atlantyckim wybrzeżu Kolumbii mówili się wszystkimi językami; a taki był dobrobyt — to znaczy to, co oni uważali za dobrobyt — że palono banknoty podczas tańczenia cumbii. (...) Prawdziwa władza nie istniała, wszystkim rządzili przepokutstwo, z tej prostej przyczyny, że towarzysztwo bananowe dzięki łapówkom, dzięki smarowaniu rąk na prawo i lewo kontrolowało tak wymiar sprawiedliwości, jak i władzę w ogóle”.

Pierwszy strajk generalny w dziejach Kolumbii odbył się w 1928 roku. Około 20 tysięcy zdesperowanych bananeros ruszyło do Cienaga uzbieranych w maczety. Na stacji kolejowej doszło do masakry bronią maszynową. Zbliżyli się wówczas święta Bożego Narodzenia... Zastrzelono ponad 3 tysiące strajkujących robotników United Fruit Company. Był to początek końca wielu kolumbijskich miasteczek. Ślady powieściowego Macondo można odnaleźć nie tylko w Aracataca i Cienaga, lecz także w Fundacion, Sevilla, „Cuacamayal. W pewnym sensie wszystkie zostały „wygnane z pamięci ludzi”, bo „plemiona skazane na sto lat samotności nie mają już drugiej szansy na ziemi”.

Omawiana powieść miała się początkowo nazywać „La Casa” — Dom. W miasteczku Aracataca zachował się jeszcze dom Marquezów. Zniszczone pomieszczenia oglądają dziś liczni turyści. Mieszkańcy informują, że tutaj Nicolas Ricardo Marquez opowiadał swemu wnukowi — późniejszemu laureatowi Nagrody Nobla — o wojnie między konserwatystami a liberałami, która toczyła się w latach 1899—1902. Dziadek pisarza faktycznie był pułkownikiem. Ale prawnikiem Aureliano Buendía był gen. Rafael Uribe Uribe, który na czele powstańców dotarł do Aracataca i gościł w domu Nicolasa Ricardo Marqueza. Babka pisarza twierdziła, że przyczyną samotności generała jest brak miłości...

Na mapie Kolumbii nie ma miejscowości o nazwie Macondo. Podobno istniała kiedyś taka zagroda w pobliżu Fundacion. Podobno w ten sposób niewolnicy murzynscy nazywali drzewa rosnące na stokach sierry. Podobno w wioskach na północnym wybrzeżu jest gra hazardowa „macondo”. Podobno wreszcie Murzyni na banany mówili „macondo” — diabelskie pożywienie. W każdym razie Macondo symbolizuje dziś ludzkość w zaklętym kręgu przeznaczenia. Symbolizuje ironię losu ludzkiego. *Nihil novi sub sole*.

W niewielkiej osadzie Aracataca nad rzeką Magdalena jest dziś jedna główna ulica i siedem przecznic — jak siedem pokoleń w dziejach Macondo i siedem pokoleń rodu Buendíów. Elitę zmęczoną 40-stopniowym upałem i wspomnieniami dawnej świetności osady stanowią: weterynarz bez dyplomu, fryzjer potrafiący wyrywać zęby i policjant. Na stacyjnym budynku obok nazwy Aracataca widnieje znaczący napis „MACONDO”.

Nie wiem, czy ma jakieś znaczenie fakt, że rodzina Buendíów liczyła siedem pokoleń? Niektórzy historycy — jak np. Aleksander Krawczuk — stwierdzają jednak istnienie tzw. prawa siedmiu pokoleń. Podobno w tym czasie (około 210 lat) musi zwyrodnąć i załamać się każda większa struktura społeczna. Taki ma być cykl biohistoryczny.



Kościół w Aracatace.

Rys. Dariusz Romanowicz

Historia jak najbardziej najnowsza

Prezentujemy relacje z pamiętnego 13 grudnia 1981 roku. To już wprawdzie historia, jak najbardziej najnowsza, ale bolesna i dramatyczna, której różne skutki — pozytywne i negatywne — odczuwamy do dziś i odczuwać będziemy

przez dłuższy jeszcze czas. Warto więc upamiętnić fakty z tamtego okresu naszej historii. Oddajemy głos ludziom, którzy zajmowali wówczas różne stanowiska, byli na różnych — nieraz przeciwnych — pozycjach. Czynimy to gwoździem zachowania

Noc, która wstrząsnęła Polską (1)

Dramatyczna podróż

MAREK KOPROWSKI

Noc z 12 na 13 grudnia 1981 r. Wprowadzenie stanu wojennego na terenie całego kraju. Najbardziej dramatyczny ciąg wydarzeń w powojennej historii Polski. Ta noc na wielu odcieniach trwało piękno i do dziś kładzie się cieniem na ich życiu. Choć to zabrzmi jak paradoks, ale dzisiejsze głębokie zmiany polityczne i społeczne biorą swój początek właśnie w grudniu. Związek „Solidarność”, wydawało się wtedy, doszczętnie rozbita, okrzepła w podziemnym działaniu, szybciej dojrzewała, nabierała mocy i doświadczenia, by wyjść z mroku jako licząca się znów siła. Siła, która doprowadziła do zmian nie tylko u nas, ale — pośrednio — w całej Europie Wschodniej.

Tę noc niewiele z nas miało świadomość przełomu. Z soboty na niedzielę ludzie bawili się, kochali, grali w karty, śpiali, oglądali telewizję. I chyba mało kto dostrzegł, że projekcję filmu przerwano punktualnie o północy, w polowie sekwencji przeprawy bohaterów przez rzekę, że para przestraszonych spacerów, nienaturalnie przylepionych do siebie, pośpiesznie pożegnała telewizorów, że nie działały już telefony (bo kto dzwonił po północy?), słowem — że stało się coś niezwykłego.

Budziłam się rano, najciszej alarmowani przez sąsiadów lub znajomych, z poczuciem strachu, niepewności, trwogi. O mały kawałek od siebie i najbliższych, o dalszy los wreszcie, gdzieś w dalszej kolejności o kraj i ludzi. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje i co się stanie. Złowrogi słowo „wojna”

zaczęło nad Polską na długie dni, tygodnie, miesiące.

O stanie wojennym wiemy wiele, ale i niewiele zarazem. O dramatycznych losach pojedynczych ludzi — nie zgoda. Ten cykl ma odsonić nie tyle mechanizmy — choć te mimo woli się ujawniają — ile przebieg wydarzeń widzianych oczyma ludzi wciągniętych w ich wir. Tych z jednej i z drugiej strony barykady, a także świadków, obserwatorów i biernych uczestników.

Być może, z tego „serialu” powstanie książka, niekoniecznie w takiej formie, kolejności relacji i montażu jak publikacja w „Odgłosach”. Ale to na razie

Rozpoczynam od relacji Andrzeja Słowika, ówczesnego przewodniczącego Zarządu Regionu w Łodzi. Jako że niniejszy zapis dokumentalny nocy stanu wojennego dotyczy Łodzi.

Andrzej Słowik:

— Dwunastego grudnia, tuż po północy, kończyły się obrady Komisji Krajowej w Gdańsku. Jej przebieg był nieco inny od poprzedniej, ze względu na postawę doradców, ekspertów, którzy po wypowiedzeniu swego zdania, nie zabierali później głosu w ogóle. Siedzieliśmy jacyś tacy smutni, jakby osowiali. Wśród członków KK zaczęły krążyć telexy, bodające z Regionu Pojezierze z wiadomością o ruchach jednostek wojskowych, a bezpośrednio z Gdańska dotarły wiadomości o kolumnie samochodów milicyj-

nych, która zatrzymała się gdzieś w uliczkach Starego Miasta. Potem wiadomość sprostowano, że to chodzi o kolumnę wojskową. Pojawiła się również wiadomość, że nieczynne są telefony i telexy. To budziło atmosferę wewnętrznego niepokoju. Kilka wypowiedzi odnosiło się do sytuacji określonej jako stan wyjątkowy. Ja dostałem od Seweryna Jaworskiego dokument, który został wyciągnięty nie wiem z jakiej instytucji, a była to instrukcja na wypadek ogłoszenia stanu wojennego, czy też dekret o stanie wyjątkowym, nie wojennym. Trochę byłem zdziwiony, że dokument datowany dwa tygodnie wstecz był trzymany w tajemnicy, ale ponieważ nie można było ustalić skąd pochodzi i na ile jest wiarygodny, przyjąłem, że warszawscy nie chcieli wprowadzać paniki. Mówiło się w nim o ograniczeniach swobód i różnych innych działaniach. Żeby być w porządku wobec regionu, przetelefonowałem jego treść do Łodzi, około 22.00. Nie potwierdziła się tym sposobem informacja o zablokowaniu telefonów. Sprawdziłem również telexy w hotelach, tam nic nadzwyczajnego się nie działo.

Wcześniej, jeszcze w czasie przerwy, wychodząc na kawę z Jurkiem Kropiwnickim, spotkałem przed hotelem „Heweliusz” koleś, który swego czasu pracował za mną w MPK jako kierowca, a potem zwrócił się z przedświebistwem. Był tam nysa pełna jakichś młodych ludzi; co by nie mówić, tych UB-ków jakoś się wyczuliwo intuicyjnie. Pierwsze skojarzenie, jak zobaczyłem go w otoczeniu

kumpi było takie, że to policja łódzka. Zachowanie ich było bardzo dziwne: kiedy mnie rozpoznali, skierowali się do hotelu przerywając rozmowy, zostawiając moją koleżkę samego, ale z odcieniem dezaprobaty, wręcz ukrytej wrogości, a nawet agresji. Zapytałem go, z kim się zadaje, o co tu chodzi, ale on odszedł, wymawiając się brakiem czasu. Nie gromadziłem jednak tych informacji na jednej sterce.

Po zakończeniu KK część z nas udawała się do domu samochodami, część do hotelu po rzeczy, część została na miejscu. Ta komisja różniła się od innych tym, że do jej dyspozycji oddano niespotykaną ilość pokoi hotelowych w jednym obiekcie. Poprzednio zawieszono z tym były kłopoty. A tu nagle prawie wszyscy zmieścili się w sypialni „Grandzie”.

Ponieważ kierowca i Włodek Bogucki musieli pojechać po swoje rzeczy, wyjechaliśmy z Gdańska dopiero około 2.00. Stuchaliśmy w samochodzie programu nocnego, który nierzadko się różnił od poprzednich audycji nocnych. Przejazd przez Gdańsk był spokojny, nie było niebezpieczeństwa. Po drodze, 40-50 km od Gdańska zauważyliśmy stojące po lewej stronie dwa autokary. Jeźdźnia była zaśnieżona, jadący samochód wojskowy hamując jak na sankach uderzył w te autobusy. To trochę komically wyglądało, gdy głowy śpiących pasażerów poruszyły się zgodnym ruchem od tego uderzenia. Zatrzymaliśmy się, ale nie nikomu się nie stało, więc ruszyliśmy dalej. Jurek trochę przysypiał, byliśmy trochę zmęczeni.

Dopiero w Toruniu zaczęło się dziać coś, co odbiegało od normy: tuż za mostem przez Wisłę trafiliśmy — jak się później okazało — na koniec kolumny wojskowej. Były to samochody gospodarcze wiozące namioty, kotły, materace, najróżniejszy sprzęt wojskowy. Wyprzedzając je natrafiliśmy na transporty na gasienicach. Dowódcy tych pojazdów siedzieli w otwartych wieżyczkach, a zimno przecież wtedy było, śnieg, trochę to wygląda-

ło jak na defiladzie. Dlaczego ci ludzie marzną, nie mogą się zamknąć w środku? — myślałem. Zaczęliśmy liczyć transporty. Wcześniej samochodów gospodarczych było około setki. Kiedy doliczyłem się 60 pojazdów gasienicowych, obudziłem Jurka Kropiwnickiego: „zobacz, ile tego jedzie”. Okazało się, że była to tylko część kolumny, którą skończyliśmy wyprzedzać tuż przed Włocławkiem.

Wiadomo było, że wtedy żadnych manewrów wojskowych nie ogłoszono. Porozmawialiśmy trochę na ten temat, aż doszła godzina 6.00 i program radiowy się zmienił. Wystąpił Jaruzelski z proklamacją o wprowadzeniu stanu wojennego, z informacją o internowaniu prominentów partyjnych i ekstremistów z „Solidarności”, z apelem do robotników polskich o wyrażenie się niezwykłego prawa do strajków na okres tak długi, jak będzie to niezbędne dla czegoś, co zadeklarował jako swoje intencje. To było przed Łęczycą.

Jeszcze zauważyliśmy, że od jakiegoś czasu jechał za nami samochód osobowy, który trzymał się cały czas w zasięgu wzroku. Poprosiłem kierowcę, żeby przyspieszył i tamten zniknął nam z oczu. Trzeba było zwolnić, bo szosa śliska i niebezpieczna i pojawił się znówu. Po komunikacie Jaruzelskiego zastanawiałem się, czy w Łęczycy będzie można swobodnie przejechać. Więzień jest tam przy drodze, więc uważałem, że można czujkę kontrolującą praktycznie cały ruch drogowy. Myślałem, czy nie jechać przez miasto, a na wszelki wypadek umówiliśmy się, że w razie czego kierowca zatrzyma się wcześniej i będziemy próbować bokiem się przebiec pieszko, szukając innej możliwości.

W Łęczycy było normalnie, żadnego ruchu, nawet pół milicjanta czy żołnierza nie widać. Dojechaliśmy prawie do Zgierza. Tam, gdzie las się kończy, zatrzymaliśmy tramwaj. Spytałem motorniczego, co się dzieje w Łodzi, czy słyszał komunikat radiowy. Odpowiedział,

że wszystko normalnie, niedziela, jak niedziela, ruchu nie ma dużego, wszyscy w domach siedzą, pasażerów nie ma. Wojaka i milicji też nie ma. I w tym czasie nadjechał z tyłu tenże samochód osobowy. Widzieliśmy, że się zbliża, więc chcieliśmy odjechać jak najszybciej. Okazało się jednak, że złapałmy „kapcia”. W tamtym samochodzie jechali z Gdańska nasi koledzy z Bielska-Białej, trzymając się naszej łódzkiej rejestracji, bo pilnowali drogi. W bagażniku swojego fiata wzięli jakąś maszynę poligraficzną, którą chcieli jeszcze dowieźć do Bielska. Po wymianie koła, co trwało trochę dłużej, zasiadłem przy kierownicy.

Umówiliśmy się z kolegami, że jak po drodze coś się będzie działo, po kolei, na zakrętach, gdzieś się z tego samochodu ewakuują, a ja spróbuję przebiec się jak daleko będzie to możliwe. Zaprośiliśmy kolegów z Bielska do siedziby Zarządu, żeby się zorientować jaka jest sytuacja, z zastrzeżeniem, że jeżeli „coś” po drodze, to ratujcie się jak możecie. Zostali poinformowani jak najlepiej przejechać przez Łódź i ruszyliśmy w drogę.

W mieście nic się nie działo, aż do ulicy Piotrkowskiej i skrzyżowania z Świerczkowskiego. Tam już było widać Zarząd obstawiony samochodami milicyjnymi i kordonem milicjantów. Ponieważ ruch odbywał się normalnie, to znaczy, pojazdy były przepuszczane — więc i my przejechaliśmy samochodem zarządzonym, oznakowanym nalepkami „Solidarności”, bardzo wolno, żeby zauważyć, co tam się dzieje. Budynki były ściśle obstawione, nikogo więcej nie było widać. Kilka osób stało na przystanku tramwajowym, bardziej obserwując, co się dzieje niż czekając na tramwaj. Było oczywiste, że do budynku w tej sytuacji nie wchodzić.

Skręciliśmy w Worcella do Wólczańskiej i weszliśmy do szpitala Pirogowa, czegoś się dowiedzieć. Portier powiedział, że tragedia, wszystkie telefony powyłączone, nie ma żadnej łączności. Problemy z chorymi,

Zignorowałem to i spałem dalej...

IRENEUSZ MIREK

Józef Niewiadomski

— 12 grudnia 1981 roku, rano, przyjmowałem członków Prezydium Zarządu Regionu „Solidarności”. Nie było p. Kropiwnickiego, Słowika i p. Palki. Pozostali chyba wszyscy byli. Rozmawialiśmy na temat przedświebistwego zaopatrzenia. Było to około godz. 13. O 13.00 pojechaliśmy do Urzędu Stanu Cywilnego na Bałuty i byłem honorowym opiekunem trzynastego dziecka pani, która pracowała w PGM. Wróciłem potem do Urzędu, załatwiłem bieżące sprawy i przyjechałem do domu. Gdzieś ok. godz. 12.00 wieczorem, kiedy się już położyłem, zadzwonił aparat dyżurnego inżyniera miasta (miałem bezpośrednie połączenie z inżynierem miasta), który zawiadomił, że nie ma w Łodzi łączności telefonicznej. Muszę powiedzieć, że zignorowałem to i spałem dalej. O 12.30 przyszedł do mnie zrozpaczony doc. Dmochowski, który zawiadomił mnie, że została aresztowana jego żona — p. dr Dmochowska. Doszedłem do telefonu milicyjnego, który miałem wówczas zainstalowany w domu. On działał. Połączyłem się z Wojewódzkim Urzędem Spraw Wewnętrznych. Rozmawiałem z generałem Moczko, który zakomunikował mi, że mam o godz. 6.00 wysłuchać przemówienia generała Jaruzelskiego, a o 7.00 zgłosić się do Komitetu Łódzkiego, gdzie będzie telekonferencja. Oczywiście nie było już mowy o żadnym spaniu. Przekończaliśmy z żoną i synem do 6. Wysłuchałem przemówienia gen. Jaruzelskiego, potem pojechałem do Komitetu Łódzkiego, a przed ósmą zjawiłem się w Urzędzie Miasta. Tam czekał już na mnie p. Garbacz z pismem, z którego wynikało, że jest komisarzem wojskowym na terenie miasta. Muszę powiedzieć, że nie bardzo wiedziałem, na czym to ma polegać. Czy ja mam zwać swój urząd i przekazać mu władzę? Oświadczyli, że nie. Administracja państwowa działa normalnie. Zawieszona jest tylko Rada Narodowa. Zatelefonowałem do dyżurnego bazy transportu, żeby jak najszybciej skierować kierowców do urzędu. O 8.15 wszyscy już byli. Czekały odpowiednie druki obwieszczenia o wprowadzeniu stanu wojennego. Na-leżało je rozplakatawać na mieście. Natychmiast też skierowaliśmy do urzędu dyrektorów wydziałów i przystąpiliśmy do realizacji tych zadań, które wynikały z dekretu, m.in. militaryzacji niektórych zakładów. I tak przebie-

gła właściwie cała niedziela. Do domu wróciłem dopiero w nocy z niedzieli na poniedziałek.

Poniedziałek to był bardzo trudny dzień. Studenci na Wydziale Prawa zostali w uczelni. Zamknęli się w pomieszczeniach Uniwersytetu. Przyjechał do mnie rektor, prof. Wróblewski z pytaniem — co robisz? Apelowaliśmy, żeby jak najszybciej poszedł do studentów i próbował ich przekonać, aby zaprzestali strajku. Gdzieś po dwóch godzinach wrócił prof. Wróblewski i oznajmił mi, że na dole w samochodzie jest ksiądz biskup Bejze. Jeżeli dostanie taką zgodę od prezydenta — to pojadzie sam do studentów i zaapeluje, żeby przestali strajk. Pod warunkiem oczywiście, że studenci nie będą pociągnięci do odpowiedzialności. Zgodziłem się bez wahania i panowie pojechali na Uniwersytet. W międzyczasie przed budynkiem Wydziału Prawa zaczęły zbierać się tłumy; stały autobusy i tramwaje. Koledzy z WUSW uważali, że trzeba natychmiast wprowadzić oddziały milicji. Prosiłem jeszcze o zwłokę. I rzeczywiście. Po rozmowach rektora i biskupa Bejzego duża część studentów opuściła gmach Uniwersytetu. Pozostało ok. 40 osób. Zdecydowałem się pojechać tam sam. Muszę powiedzieć, że mój przyjazd na Uniwersytet został przychylnie przyjęty przez tłum ludzi, który stał przed gmachem. Zrobiono mi przejście, zaczęli pukać do drzwi. Jakiegoś studenta wyrzucił przez okno i na tym cała sprawa się zakończyła. Nie miałem możliwości wejścia. Pojechałem tam po to, by nie dopuścić do wprowadzenia sił porządkowych. Nie udało się. I około pierwszej weszła tam milicja.

W poniedziałek też dopiero na posiedzeniu Wojewódzkiego Komitetu Obrony dowiedziałem się o aresztowaniu panów — Kropiwnickiego i Słowika. Przez następne dni zajmowaliśmy się głównie zaopatrzeniem miasta. Każdy wojewoda dbał o swój teren, a my pozbawieni zaplecza rolniczego byliśmy w bardzo złej sytuacji. Zdarzały się przypadki, szczególnie na kierunku Łęczycy, że tamtejsze władze wojewódzkie wystawiały posterunki milicyjne na drogach prowadzących do Łodzi, aby uniemożliwić zaopatrywanie miasta przez rolników.

14 czy 15 grudnia 1981 r. zebrałem w Urzędzie Miasta 500 dyrektorów największych łódz-

kich zakładów pracy. Telefony były odcięte, u mnie był telefon we-cze. Poinformowałem o sytuacji i zaapelowałem o to, aby robili wszystko, żeby w zakładach był spokój. Sami dyrektorzy starali się rozwiązywać konflikty przez rozmowy i perswazję. Robiliśmy wszystko, żeby było jak najmniej aresztowań. Z tego co wiem — w pierwszym etapie w Łodzi internowano 94 osoby. Wydałem także dyspozycję krótką, ale chyba jasną i czytelną „bez zemsty i odwetu”; żeby nie było np. zwolnień z pracy. Choć i takie przypadki się zdarzały.

Byłem przewodniczącym Wojewódzkiego Komitetu Obrony. W skład Komitetu — jako wiceprzewodniczący — wchodził szef WUSW gen. Bronisław Moczko i komisarz wojskowy, p. Kazimierz Garbacz. Byli wszyscy wiceprzewodniczącymi i jeden z sekretarzy Komitetu Łódzkiego partii. Kompetencje wynikały z pełnionych funkcji. Sprawa porządku i bezpieczeństwa to domena WUSW i komisarza wojskowego, który miał do dyspozycji grupy operacyjne wojska. Myśmy oczywiście byli współodpowiedzialni za porządek, ale głównie zajmowaliśmy się sprawami dotyczącymi zaopatrzenia i przemysłu.

— Po wprowadzeniu stanu wojennego prof. Cezary Józefiak złożył legitymację partyjną. Czy był to odesobniony przypadek?

— O ile wiem, było więcej takich przypadków, bo i prof. Józefiak i inne osoby. Dokładnych danych nie mam. Mogę tylko powiedzieć, że partia w 1979 roku w Łodzi liczyła 124 tys. członków, a aktualnie liczy 74. Występowali i w 80. roku i 81., no i w stanie wojennym również.

— Jaka byłaby reakcja władz centralnych na próbę użycia broni w Łodzi?

— O tym nigdy nie myśleliśmy. Nie wyobrażam sobie, żeby można było użyć broni. O ile wiem, szef WUSW każdorazowo, kiedy wyprowadził miał siły porządkowe — musiał uzyskać zgodę resortu spraw wewnętrznych. Myśle, że nam w Łodzi udało się przeżyć przez ten trudny okres dobrze. My w Łodzi nie mamy przez ten okres 45 lat takich miejsc, gdzie trzeba składać kwiaty.

Jerzy Kropiwnicki

— 12 grudnia 1981 r. — to był dzień, w którym w Gdańsku odbywał się posiedzenie Komisji Krajowej. Nikt z nas nie miał wyrażonego przeczcucia, choć była może jakaś nerwowa atmosfera. W pewnym momencie wyłączone np. telexy, ale to się zdarzało już w czasie pierwszej i drugiej tury Zjazdu „Solidarności”. Otrzymałmy informacje o ruchach wojska i policji, ale kilkanaście dni

wcześniej też były takie informacje. Potem okazało się, że jest to akcja „piersień” skierowana przeciwko podziemiu gospodarczemu. Jeden jedyny człowiek w Polsce, który miał prawo powiedzieć o sobie, że wiedział lub przewidywał, co się zdarzy następnego dnia — to Włodek Frasyniuk. Zrobił coś, co świadczyłoby o tym, że mógł wiedzieć. Na dzień przed stanem wojennym z banku we Wrocławiu zostało wyciągniętych 80 mln złotych, stanowiących własność Zarządu Regionu Dolnego Śląska. Pieniądze te służyły finansowaniu działalności wrocławskiej „Solidarności”, a jak się następnie okazało z ustaleń SB — również w znacznej mierze pozwalały na utrzymanie całego TKK. Znalezione pokwitowania Bujaka dla Piniora i Frasyniuka za pożyczki z tej sumy. Potem po przejęciu majątku Związku przez OPZZ — Józef Pinior był ścigany sądownie przez OPZZ o zwrot tych pieniędzy.

Otóż ja rozmawiałem z Władkiem Frasyniukiem, będąc przekonany, że być może mam do czynienia z człowiekiem, który tak na sto procent wiedział. Spędziłem z nim sporo czasu w więzieniu w Barczewie, wystarczająco dużo, żeby mówić o wszystkim, i to na bardzo wysokim stopniu szczerości. Włodek ze stopnią zagęszczenia pewnych zjawisk przypuszczał, że może dojść do konfliktu, ale że akurat tej nocy...

My w Łodzi zresztą też mieliśmy trochę wcześniej 10 milionów poza kasą bankową. Sytuacja w kraju była napięta i tych pieniędzy nie chcieliśmy odprowadzać do banku. Wtedy jednak Regionalna Komisja Rewizyjna zmusiała nas do wpłacenia tych pieniędzy.

Obrady Komisji Krajowej zakończyły się około godz. 24.00. Ci, którzy wyjechali z Gdańska natychmiast po zakończeniu KK natykali się na blokadę, aresztowanie i w efekcie znajdowali się w internatach. Ci, którzy nocowali w Trójmieście zostali wyciągnięci z łóżek nad ranem. Wydoształo się tym, którzy wyjeżdżając pociągami wsiadali nie w Gdańsku, tylko np. w Gdyni lub w Sopocie, albo tym, którzy opuszczali Gdańsk nie o północy, tylko godzinę czy półtorej później. To miało miejsce w naszym przypadku. Nasze opóźnienie wynikało stąd, że Włodek Bogucki nie wziął ze sobą na Komisję Krajową bagażu i samochód musiał po nie jechać do hotelu.

Myśmy w tym czasie siedzieli w pokoju u Grzegorza Palki, który zastanawiał się, czy jechać na niedzielę do domu. Twierdził, że droga pochłonie mu zbyt wiele czasu, a w poniedziałek i tak musiał być w Gdańsku, bo miało odbyć się posiedzenie Prezydium Komisji Krajowej. Myśmy zdecydowali się jechać.

Nawierzchnia była bardzo śliska. Andrzej to jest bardzo dobry kierowca, no i wiedział, że na takiej nawierzchni nie należy robić zad-

faktów dla naszej świadomości i tych, którzy przyjdą po nas.

Publikacje Marka Koprowskiego — zamierzone na dłuższy cykl — będziemy kontynuowali po krótkiej przerwie.

Relację Andrzeja Słowika zawartą w tej publikacji — a jest to część pierwsza relacji — uzupełniamy relacjami Józefa Niewiadomskiego — wówczas prezydenta miasta Łódź — i Jerzego Kropiwnickiego — zastępcy Andrzeja Słowika.

lekarzami, pogotowiem. Postanowiliśmy odbyć poważniejszą naradę na temat dalszych naszych działań. Kierowca dyskretnie ułotnił się z samochodu, żeby nie być świadkiem naszych uzgodnień. Myśmy się po prostu umówili, że w takiej sytuacji — zgodnie z decyzjami Związku, a traktowaliśmy sytuację jako atak na Związek — nie zostaje nam nic innego, jak ogłosić strajk i domagać się wyjaśnienia tej sytuacji. Tym bardziej, że ze strony Jaruzelskiego było to apel o wyrzeczenie, nie więcej. Umówiliśmy się na drugi dzień na placu Barlickiego, że względu na komunikację i na godzinę 9.00 wyznaczaliśmy strajk. Ustaliliśmy, że każdy z nas załatwi sobie w tym czasie jakieś miejsce pobytu i przekaże następnego dnia przy spotkaniu informację, gdzie go można szukać i autobusami rozjeżdżamy się do załazni MPK-owskich. Uważaliśmy, że MPK jest podstawa „Solidarności” w Łodzi, a o 9.00 dlatego, żeby dowiedzieć ludzi do pracy, żeby mieć z nimi kontakt w zakładach. Kierowca miał nas porozwodzić w różne miejsca miasta. Znal tylko rejon, a nie konkretne adresy.

Ruszyliśmy Świerczewskiego w stronę Piotrkowskiej, którą przejeżdżała cała kolumna milicji, dwa autokary z jakimiś cywilami, a nasz budynek stał wolny. Oczywiście było, że postanowiliśmy do niego wejść, żeby się zorientować, co się tam narobiło. Początkowo był problem z dostaniem się od frontu, gdyż będący w środku pracownicy zabarykadowali się. Dostaliśmy się wreszcie do bramy frontowej i weszliśmy na górę. Okazało się, że budynek został splądrowany przez dzikie hordy, które zagarnęły radiodiodniki i magnetofony, telewizory, sprzęt biurowy i to bez żadnego pokwitowania. Pracownicy obecni przy tym twierdzili, że często pakowali do kieszeni swoich ubrań taśmy magnetofonowe i inne drobniaczki biurowe. Zabrano archiwum wycinków prasowych, archiwum Zarządu Regionu masę dokumentów, a potem po

prostu wyszli. Zostawili poligrafie i zdekompletowany, ale nadający się jeszcze do wykorzystania sprzęt nagłaśniający. Zaczęli przychodzić ludzie z informacjami, kto został zatrzymany i kiedy. Dowiedzieliśmy się, że część działaczy zabierano z domów, niektórych, jak Trautmana i kierowcę z Dworca Kaliskiego, gdzie chciał skorzystać z sieci połączeń kolejowych. Przez cały czas naszego pobytu w siedzibie Zarządu, od godziny 7.00, przychodzili ludzie z takimi właśnie informacjami.

Zorganizowaliśmy z Jurkiem Kropiwnickim funkcjonowanie Zarządu i ludzi, którzy mieli przyjmować i gromadzić wszelkie informacje o naszych koleżankach. Wydaliśmy dyspozycje, żeby wynieść z budynku wszystkie, co można. Wszystkie wydawnictwa magazynowane w dziale poligrafii wydano tym, którzy byli przed Zarządem, na ulicy. Przygotowaliśmy tekst do odczytania przez głosniki, powtarzany co kilkanaście minut do ludzi coraz tłumniej gromadzących się przed gmachem. Fakt, że ci ludzie się gromadzili, był — przynajmniej dla mnie — dowodem na słuszność naszej decyzji wejścia do Zarządu, tego centrum informacji, centrum decyzyjnego, gdzie powinny być — i były — władze naszego Związku. Przygotowaliśmy również wezwanie do strajku, co potem było koronnym dowodem w naszym procesie. Zdołaliśmy wydrukować 50 tysięcy egzemplarzy: część została rozdana na miejscu, część zabezpieczyliśmy dla zakładów pracy.

W tym czasie część pracowników wyruszyła do mieszkań koleżanek, żeby ich ścigać w celu zinventoryowania strat, jakie ponieśliśmy, część już to robiła w swoich działach. Przygotowywaliśmy sobie materiał na spotkanie z prezydentem, od którego oczekiwaliśmy wyjaśnienia i zwrotu zabranego nam majątku. Słuchaliśmy w radiu komunikatów, bo telewizja chyba dopiero o dziesiątej zaczęła coś tam nadawać. Uratował się jedyny odbiórnik telewizyjny w moim gabinecie,

przenośny, turystyczny, tylko dlatego, że stał w szafie i był niewidoczny.

Kiedy pierwsze działania zostały podjęte i zaczęliśmy jakoś funkcjonować w miarę normalnie, umówiliśmy się z Jurkiem Kropiwnickim, że ja się wynoszę z budynku, a on zostaje na miejscu i działa tak długo, jak to będzie niezbędne. Ja miałem się przygotować do funkcjonowania w innych warunkach. To, co było niezbędne, uważałem, zostało wykonane. Do tego budynku ludzie trafil, dostali informacje, a reszta, uważałem, to sprawa do rozstrzygnięcia już w komisjach zakładowych. No, niestety, w trakcie przygotowań do ewakuowania się (wcześniej przyszła żona dowiedzieć się o mnie, ucieszyła się, że jestem na miejscu, że nic złego się do tej pory nie stało), do gabinetu zaczęli napływać pracownicy i inne osoby z informacją, że „przyszli”, że znów wrócili. Okazało się, że cała grupa została do gabinetu zapędzona.

Wtedy wpadli młodzi ludzie w czapeczkach narciarskich, krótkich kurtkach z bronią pod spodem, mieli też linki, nie wiadomo do czego. Stanęli w czterech rogach pokoju, za moimi plecami również i pokazali broń. Wszedł również jakiś człowiek w mundurze bez dysfunkcji, a przed nim cywil, „dzień dobry, panie Andrzeju”, mówi i wyciąga rękę na powitanie. Poprosiłem, żeby się przeświadczył. Stał z wyciągniętą ręką i nic nie mówił. Po chwili wezwał nas do opuszczenia budynku. Zaproponowałem, żeby usiadł i wyjaśnił, o co chodzi. Stwierdził, że tu już nie ma do wyjaśniania. Ktoś dodał, że czas na rozmowy skończył się. Wtedy człowiek bez dysfunkcji po odmowie opuszczenia budynku natchylił się do ucha i szepnął: „wynoś się ty skurwysynu, a jak nie, to my cie tu wyniesiemy” — tak, żeby reszta w pokoju tego nie słyszała.

C.D.N.

nych sztuk. Jakimś koszmarnie wolnym tempem przesuwaliśmy się wzdłuż kolumny wozów policyjnych stojących na ul. Piotrkowskiej przed siedzibą Zarządu Regionu. Oni patrzyli na nas, my patrzyliśmy na nich. Dojechalśmy w ten sposób do ulicy Worcella i stamtąd na pełnym gazie — pod szpital na Wólczańskiej. Tam postanowiliśmy, że jednak nie będziemy wracać do domu. Przez ten dzień i noc każdy z nas się gdzieś z osobą ukrył, a w poniedziałek mieliśmy się spotkać na terenie jednej z załazni tramwajowych i tam zorganizować Komitet Strajkowy.

Usiłowaliśmy odjechać stamtąd z takim postanowieniem, ale przed siedzibą Zarządu nie było już milicji i postanowiliśmy wejść do środka.

Muszę przyznać, że te schody, po których wchodziłem, to były najdłuższe schody w moim życiu. Miałem już wówczas pełną świadomość, że będę miał ogromne szczęście, jeśli po tych schodach zejść do kajdanek na rękach. Mimo to szedłem w górę. W budynku byli natomiast nasi pracownicy, których nie aresztowano. Od nich dowiedzieliśmy się, że policja weszła tam o 5 rano. Do godz. 7.00, a więc do momentu, kiedy myśmy wykonali tę defiladę przed stojącymi samochodami, oni pracowali powoli i metodycznie, zabierając przede wszystkim akta i dokumenty z sekretariatu. Zabierano też magnetofony, aparaty fotograficzne, radia, telewizory — to się odbywało sprawnie i bez specjalnego pośpiechu. Pośpiech zaczął się dopiero około 7, po czym przerwano i dosyć szybko milicjanci opuścili budynek i odjechali. Tak się złożyło, że w tej całej akcji ani nie zabrano, ani w żaden inny sposób nie unieruchomiono sprzętu poligraficznego. Był też zapas papieru. Było wreszcie miejsce, do którego — jak sądziliśmy — zaczęli schodzić się ludzie.

To się zdarzyło już kilka miesięcy wcześniej, po tych rozmowach co to jest „Solidarność” zerwała — 6 czy 7 sierpnia 81, z tą słynną wymianą zdań między panami Rakowskim i Wałęsą „Krzyż na drogę” — „Ku chwale Ojczyzny”. Rzecznik „Solidarności” po całonocnych rokowaniach poszedł wtedy spać i raptownie zderzenie propagandy z brakiem informacji ze strony „Solidarności” spowodowało, że przed Zarządem zgromadzili się tłumy. Liczyliśmy na ten efekt i rzeczywiście tak się stało.

Już około godz. 10 przed budynkiem Zarządu Regionu zgromadził się całkiem spory tłum. My do tego czasu zmontowaliśmy potrzebny sprzęt. Ułożona już była ulotka, w której po raz pierwszy padły słowa o wojnie z rządem z narodem. Z chwilą, kiedy nagrałem na taśmę zaimprovizowane przemówienie i kiedy okazało się, że nasza drukarnia zaczęła już powlekać ulotki, doszedłem do wniosku, że jest nas

tam za dużo w jednym miejscu. Dwóch wystraszonych z powodzeniem, aby prowadzić ten nieustający wiec na dale. Reszta powinna się stamtąd wycofać i przystąpić do tworzenia tego międzyzakładowego Komitetu „Strajkowego”. Andrzej Słowik dał się namówić do wyjścia, tyle że w momencie kiedy wychodził, jeden z doradców Zarządu Regionu powiedział:

— Andrzej, jeżeli ty stąd wyjdiesz, to wtedy ludzie powiedzą, że jak szczerz z tonącego okrętu...

Andrzej ma silne poczucie honoru i godności. Zdjął kurtkę, więcej — zdjął buty, założył papcie, siadł za biurkiem. Kiedy ponownie udało się go przekonać, że jednak powinien się stamtąd ewakuować, straciłmy na to dobre 40 minut. Na wyjście było już za późno. Znowu pojawiła się policja. Jeden z funkcjonariuszy manifestacyjnie poróżbiał gąbłoty na zewnątrz, wśród wycia zgromadzonego tłumu. Kilka minut potem byli już na piętrze w sali prezydium. Do pomieszczenia wpadła najpierw grupa cywilów w narciarskich czapeczkach, a potem, siekierami i łauczami. Zachowywali się dość agresywnie. Tu przypomina się Bydgoszcz lub Ustrzyki. Za nimi kilkunastu grupa policjantów i wojskowych z bronią. Cywile na rozkaz oficera opuścili pomieszczenie. Oficer wraz z cywilem zbliżył się do biurka, przy którym siedział Andrzej.

— A dzień dobry, panie Andrzeju.

Ze strony cywila, ręka do powitania — Andrzej schował ręce za siebie.

— Pan właściwie w jakiej sprawie?

Na to oficer takim typowo wojskowym tonem.

— Został wprowadzony stam wojenny, wszyscy zostajecie aresztowani, macie opuścić budynek, udać się wraz z nami. Natychmiast zaprzestać wszelkiego funkcjonowania.

Umieszczono nas w budzie, jeszcze przez pewien czas nie mogliśmy odjechać, ponieważ tłumy, które rozepchnięto na moment akcji parły na kordony policyjne. Słychać było huk prawdopodobnie wystrzelanych petard granatowych z gazem łzawiącym. Potem ruszyliśmy. Po kilkunastu minutach byliśmy na wewnętrznym dziedzińcu Komendy Wojewódzkiej Milicji.

Lista represjonowanych w stanie wojennym

Przedstawiamy dziś początek listy internowanych w szeroko pojętym okręgu łódzkim. Większość zatrzymań nastąpiło w nocy 13 grudnia 1981 r., ale akcja ta była kontynuowana przez MO także w ciągu najbliższych dni, a nawet tygodni. Również samo internowanie trwało od kilku do kilku miesięcy, a w niektórych przypadkach nawet do kilkunastu.

Kobiety osadzone w zakładach karnych lub specjalnych ośrodkach w Białolecie, Gołdapi i Olszynie Grochowskiej, mężczyźni zaś w więzieniu łódzkim i sieradzkim, a następnie w zakładzie karnym w Łowiczu. Część internowanych po zwolnieniu opuściła Polskę.

Dysponując znacznie większym spisem, nie jesteśmy w stanie podać go w całości do chwili rozszyfrowania pełnych imion osób zatrzymanych. Apelujemy więc do naszych Czytelników o uzupełnienie tego rejestru.

K.F.

1. Aleksander Aniołczyk
2. Zygmunt Barylski
3. Kazimierz Bednarski
4. Małgorzata Bartyzel
5. Jacek Bartyzel
6. Włodzimierz Bogucki
7. Benedykt Czuma
8. Zbigniew Dominik
9. Józef Dośpiał
10. Maria Dmochowska
11. Marek Edelman
12. Tomasz Filipczak
13. Jerzy Fatyga
14. Karol Głogowski
15. Józef Kowalewski
16. Zbigniew Kubiak
17. Andrzej Kern

18. Rafał Kasprzyk
19. Edward Kałucki
20. Kazimierz Kolinka
21. Jadwiga Kończak
22. Paweł Lipski
23. Mieczysław Małczyk
24. Zbigniew Mroziński
25. Marian Miszański
26. Marek Madej
27. Małgorzata Matynia
28. Henryk Michaluk
29. Stanisław Mecych
30. Stefan Niesiołowski
31. Bohdan Osiński
32. Marek Perliński
33. Bolesław Parzygaglia
34. Harry Poliwke
35. Grzegorz Palka
36. Grzegorz Rachals

37. Zbigniew Sek
38. Alfred Skórzewski
39. Iwona Siedzińska
40. Grzegorz Sierocki
41. Grażyna Sumińska
42. Aleksander Staniak
43. Zdzisław Szczepaniak
44. Mieczysław M. Szargan
45. Barbara Sreniowska
46. Józef Sreniowski
47. Andrzej Terlecki
48. Krzysztof Turowski
49. Andrzej Trautman
50. Konrad Tatarowski
51. Wiesław Urbaniński
52. Paweł Wielechowski
53. Krzysztof Woźniak

C.D.N.

LPO: — Co dalej z radiem? — pytania ciąg dalszy

Zupa się wylała — dwa razy

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

1.

Na zebraniu Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego 11 grudnia 1989 roku zupa jakby się wylała i na dodatek dwa razy. Związek Socjalistycznej Młodzieży Polskiej okazał się znacznie odważniejszy od niedawnej „przewodniej wiodącej” i przewodniczący Zarządu Łódzkiego — Roman Jachman oświadczył przysiężnie, że LPO chce współpracować z jego organizacją. Zgromadzeni przedstawiciele organizacji skupionych w Komitecie obywatelskim jakim jest LPO, z dość dużą nieufnością poddeszli do propozycji przewodniczącego ZSMP. Niestety, zapewnienie Romana Jachmana o wstąpieniu ZSMP na nową drogę uczucia się i budowania demokracji oraz niepodległości ideologicznej i finansowej od PZPR, nie wzbudziły entuzjazmu wśród zebranych. LPO postanowiło, że odpowiedź na propozycję przewodniczącego zostanie mu przesłana. Według mnie, rokowania nie są najlepsze...

2.

Pierwsza zupa wylała się, gdy sekretarz LPO — Elżbieta Hlibner przekazała sprawozdanie z „Etoś Solidarności” w Warszawie, na który była zaproszona. Podobnie jak dwójce reprezentantów Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego — Iwona Siedzińska-Katarasińska i Marek Edelman. Pani sekretarz zrelacjonowała wystąpienie przewodniczącego WKO — Marka Edelmana, jakie miało miejsce podczas spotkania w Warszawie przedstawicieli komitetów obywatelskich z Lechem Wałęsą. Główne tezy wypowiedzi przewodniczącego to: podejrzane elementy wybrały podejrzanego prezydenta miasta, ci sami wybrali redaktora naczelnego Łódzkiego Ośrodka Telewizyjnego — również podejrzanego autorem. Do kompletnego podejrzanego wybranych przez podejrzanego brakują jeszcze Andrzej Słowik.

Osoby grupujące się w LPO i jemu choćby sprzyjające słyszały już różne bzdury i są do nich przyzwyczajone, lecz ta przerosła nawet pogląd tłukący się jak widmo po ciemnej ulicy Mariana Bucza i stamtąd się zresztą wywodzi, a który głosi, że „Łódzkie Porozumienie Obywatelskie, to grupa Andrzeja Słowika zastraszone i trzymające się mordę przez Stefana Niesiołowskiego”.

3.

Po raz drugi odwiedziły LPO osoby z radia — Biruta Zylls, Małgorzata Kamińska i Kalina Jerzykowska — przedstawiciele Grupy Inicjatywnej Pracowników Twórczych Rozgłośni Polskiego Radia w Łodzi. Zapoznaliśmy zebranych z pismem, jakie zostało doręczone Prezesowi Radiokomitetu, a do napisania którego zmusili poczynania kierownictwa rozgłośni — zastraszania Grupy Inicjatywnej... oraz przedstawianie jej jako nielegalnej i działającej niezgodnie z prawem, a także informowanie, że udzielenie jej poparcia będzie wykroczeniem. Z pisma do Prezesa Radiokomitetu: „(...) obecne kierownictwo nie gwarantuje stworzenia nowego programu ani poprawy ekonomicznej, a wreszcie atmosfery sprzyjającej pracy efektywnej, pozytywnej i twórczej.

A oto na jakich faktach i przesłankach operujemy nasze przedstawienie. Obecny redaktor naczelný rozgłośni jest typowym przedstawicielem penepersowskiej nomenklatury, dziennikarzem są jedynie s mianowania. Sprzeciw nasz budzi w tym wypadku nie tyle polityczna przesłanka redaktora naczelnego, ile mentalność, typowa dla funkcjonariusza plasującego stanowiska (...) pod osłoną rekomendacji partii. Z dalszego życiorysu (...) wynika urzędniczy styl zarządzania, charakterystyczny dla decydentów z epoki — mamy nadzieję bezpowrotnie minionej. (...) tego przykładem

jest fakt, że od 1986 roku redaktor naczelny ani razu nie spotkał się z własnej inicjatywy z (...) zespołem własnej firmy (...).

Pozostali członkowie (...) kierownictwa zyskali swe stanowiska w następstwie stanu wojennego, w oparciu o legitymacje partyjne, przykładową dyspozycję (...).

Pojawiające się w (...) programie interesujące pozycje są najczęściej zasługą poszczególnych autorów, powstały często pomimo zakazów (...).

Kierownictwo rozgłośni stosowało zakazy realizacji audycji nie tylko z udziałem osób politycznie nie akceptowanych, ale także osób nie lubianych, np. Stryjski, Badiak (...). Miały miejsce próby ingerencji cenzorskich w teksty i wypowiedzi takich twórców jak Andrzej Wajda i Włodzimierz Majakowski (...). Ocenie programu towarzyszyło chorobliwe doszukiwanie się podtekstów (...) wykreślano (...) często informacyjne zdania takie jak: Tramwaje jeżdżą, obok lipy kwitną (...).

(...) były też wewnętrzne śledztwa, a nawet donosy na własnych pracowników do organów ścigania.

Kierownictwo rozgłośni podejmuje konkretne przedsięwzięcia gospodarcze bez (...) rozpoznania w realiach (...). Trudna (...) do oszacowania strata wynika z darmowej obsługi świata „Lata z radiem” w Arturówku w '87 roku”. Są także zarzuty monstrualnego przerosu stanowisk kierowniczych — „Patologia ambicji i tytułowania najjaśniejszej przejawiała się w przypadku, kiedy kierownika transportu — kierowcę bez średniego wykształcenia, wiozł do Warszawy służbowym wozem inny kierowca”. Wśród innych jest przykład wyrzucenia do śmieci archiwalnej dokumentacji jednego z programów i „szykany z jakimś spotkały się ze strony kierownictwa próbujące wrócić do pracy koleżanki, które stan wojenny zastał na urlopie wychowawczym”. Ta ostatnia sprawa została zainteresowana Prokuratura Wojewódzka. I to jest druga wylana zupa.

„Wszystkie zawarte w (...) piśmie stwierdzenia i zarzuty poparte są na obserwacjach lub własnych przebiegach pracowników rozgłośni.

Podkreślamy jeszcze raz, że nadrzędnym celem wszystkich działań naszej grupy jest przekształcenie programu ośpałego, skłóconego wewnętrznie i pozbawionego wewnętrznej autorytetu i popularności rozgłośni w nowoczesne i społeczne radio lokalne”.

4.

Stosunek LPO do tego, co dzieje się w PR, Łódź, został wyrażony oświadczeniem przesłanym prezydentowi m. Łódź i prezesowi Radiokomitetu.

„Stoimy na stanowisku, że nie wystarczy samo tylko mechaniczne przywrócenie do pracy ludzi związanych z radiem, którzy byli jej brutalnie pozbawieni, w ramach słynnej weryfikacji przeprowadzonej po 13 grudnia 1981 r., według wyłączonego politycznych kryteriów. Konieczne jest znalezienie takiego modelu i kierownictwa Rozgłośni Radiowej w Łodzi, które zagwarantują autentyczną współpracę z całym środowiskiem dziennikarzy radiowych w duchu służenia prawdzie i społeczeństwu naszego miasta”.

OD REDAKCJI: 16 grudnia 1989 roku „Głos Robotniczy” opublikował list 24 dziennikarzy Łódzkiej Rozgłośni PR skierowany do prezesa Andrzeja Działacza. W liście tym dziennikarze LR PR wyrażają oburzenie „na kolegów, którzy pod sztandarami NOWEGO posługują się starymi, skompromitowanymi metodami (...)”. Uważamy jednak — pisał dalej — że dalsze zmiany są potrzebne. Ale nie za wszelką cenę i nie tymi sposobami”.



Foto: Grzegorz Gałasiński

Być korespondentem zagranicznym w Polsce (1)

Kocham ten kraj...

Rozmowa z BERNARDEM MARGUERITTEM

— Jak się zaczęła pana przygoda z Polską?
— To bardzo romantyczna i stara historia. Wciąż mi się zdaje, że zdarzyło się to wczoraj, choć miało to miejsce niemal dokładnie 30 lat temu. Przebywałem wówczas, jeszcze jako student, na wakacjach u mego dziadka w Normandii. Raptem zadzwonił do mnie ojciec, który zajmował się międzynarodową wymianą młodzieży i zapytał, czy interesuje mnie wyjazd do Polski. W zastępstwie kolegi, bo tamten akurat nie mógł. Polska była dla mnie wtedy pustym hasłem, ale brzmiało ono sympatycznie. Nazajutrz znalazłem się w Paryżu. Kierownik rozmawiał ze mną i uprzedził: chodzi o obóz na Mazurach, gdzie będzie 50 polskich dziewcząt, które uczą się w szkole z rozszerzonym językiem francuskim. Od nas miały pojechać trzy osoby. Kierownik grupy zajmował się łaskarstwem, ja studiowałem języki martwe, łacinę i grekę, byłem więc trochę przerażony. A jednak znalazłem się na tym obozie. A jedna z tych pięćdziesięciu dziewcząt jest od 22 lat moją żoną. I myślę, że tak już zostanie.

— A więc, jak się to u nas powiada, „cherchez la femme”?

— Problem polega na tym, że jest dużo miłych i sympatycznych Polek. Znakomity korespondent szwedzki Peter Johnson, który mówi bardzo dobrze po polsku, popoił ten sam grzech, co wielu z nas — ożenił się z Polką. To choroba bardzo rozpowszechniona wśród korespondentów, ale nie narzekamy. Zresztą wszystkich Polek poślubić nie możemy. Trudno, trzeba się ograniczyć.

— Zatem wiele zawdzięczamy pańskiej żonie, Joannie?

— Niewątpliwie, bo potem w latach 1961—62 znalazłem pretekst, aby znaleźć się w waszej stolicy. Postanowiłem zrobić dyplom na Uniwersytecie Warszawskim. Temat pracy: średniowieczna literatura polska w języku łacińskim ze szczególnym uwzględnieniem Jana z Wiślicy. Opiekowali się mną śp. profesor Nowak-Dłużycki oraz Aleksander Głęysztor. Był to znakomity okres w moim życiu i mile wspominałem warszawskie akademiki. Potem ściągnęli mnie do Paryża dla odbycia służby wojskowej. Były to mniej przyjemne czasy.

— Nie zapominał pan jednak o Polsce?

— Myślałem o Polsce i dlatego odbyłem wówczas rozmowę z ówczesnym dyrektorem „Le Monde”, wspaniałym człowiekiem, który, niestety, niedawno zmarł. Oświadczyłem mu, że przebywałem w Warszawie i nieco mówię po polsku. Zdziwił się, że chcę zostać dziennikarzem, nie miał zbyt wysokiego mniemania o tym zawodzie. Przyjął mnie jednak na trzy-miesięczny staż w „Le Monde”. A w roku 1966 znalazłem się po raz pierwszy w Polsce jako korespondent.

— I pozostał jej pan wierny...

— Opuściłem wasz kraj, nie z własnej woli, po wypadkach grudniowych 1970 r. Naraziłem się jednemu z członków Biura Politycznego KC PZPR i musiałem spakować walizki. Przebywałem w Austrii i Stanach Zjednoczonych. Ale gdy tylko powstała możliwość ponownego przyjazdu, wróciłem do Polski. Dokładnie 8 października 1977 r. Od tej pory jestem tu nieprzerwanie, początkowo jako korespondent prasowy, obecnie zaś również telewizyjny. Miałem okazję oglądać różne oblicza Polski, poczynając od gomułkowskiej, przez gierkowską. Oglądałem Polskę pierwszej „Solidarności” po stan wojenny. Widziałem także ten kraj po stanie wojennym aż po obrady „Okrągłego stołu”. A teraz uważnie przyglądam się Polsce pana Mazowieckiego. To wszystko jest fantastyczne, może kiedyś na ten temat napiszę książkę. Praca korespondenta przypomina nieco pracę tłumacza. Jest on pośrednikiem, w dobrym znaczeniu tego słowa.

Staram się traktować swój zawód jako posłannictwo. To wielka szansa być w innym kraju i pisać dla czytelników francuskich czy też przedstawiać francuskim widzom w telewizji, jakie są realia tego kraju, zbliżyć ludzi i narody. Może to wielkie słowa, ale tak to traktuję. Pozwala to zrozumieć moje nastawienie do waszego kraju, bo często korespondenci przyjeżdżają tu na 3 lata i choć pracują uczciwie, nie mają zaangażowania.

— Uważa pan, że trzeba się angażować?

— Ja nie chcę być obiektywny. Wydaje mi się, że jest rzeczą niedobłą takie chłodne podejście. Nie ukrywam, że kocham ten kraj, mam nadzieję, że będzie tu lepiej. Mam tego wizję i jest to dla mnie istotne, nawet ze względów osobistych, bo syn i córka urodzili się na Woli, w Warszawie. Kiedy myślę o Polsce, to o tej Polsce, która będzie powiedziła za lat dziesięć czy piętnaście, kiedy będą oni dorosłymi ludźmi.

— I jaka jest ta wizja? Czy nie przeraża pana nasza gospodarka zapaść?

— Spodziewam się bardzo wiele po Polakach. Kiedy słyszę zewsząd wołania, że Polska potrzebuje pomocy Zachodu, to mnie nieco denerwuje. Bo kryzys ma charakter europejski, jest on obecny wszędzie na naszym kontynencie. Na Zachodzie też zapaść nie dotyczy bytu materialnego, ale duchowo jest może większa niż w Polsce. Zabrani to może dziwnie, ale jestem przekonany, że to raczej my potrzebujemy pomocy Polski i powinniśmy o nią prosić. Dam taki przykład. W Zalesiu Górnym, pod Warszawą, tam gdzie mieszkam, budujemy kościół. Żona jest architektem, zrobiła projekt tej świątyni, jesteśmy więc dodatkowo związani z tą budową. Proboszcz zaczął miłować mnie „osobistością” w komisji finansów parafii, postanowiłem więc działać. Zaczęłem kontaktować się z kościołami we Francji, a także z redakcjami gazet, które mogłyby coś zrobić w tej sprawie. Miałem dwa doświadczenia szczególne. Jedno, z parafii pod Paryżem, gdzie jest dom Margueritte’ów, bo stanowimy liczną rodzinę. Namówiłem młodzież z tej parafii, żeby coś zrobiła dla kościoła w Zalesiu Górnym. I rzeczywiście, przyjechała grupa młodych ludzi, którzy w sierpniu pracowali fizycznie na budowie w symbolicznym geście solidarności. Odpowiedziałem też z żoną parafii w Nicei, którą stać na pomoc finansową. Bardzo sympatyczny proboszcz zaprosił nas na mszę. To bardzo bogata diecezja na wzgórzach Nicei, gdzie stoją piękne wille. Na mszy było siedem osób, same kobiety. Najmłodsza z nich, zresztą zająca niewiasta, miała siedemdziesiąt lat. Proboszcz był zadowolony, uznał, że jest dużo ludzi. Pochwalił się, że w tym roku aż dwoje dzieci przystępuje do pierwszej Komunii Świętej, bo to się nie zdarzało od wielu lat. Oczywiście, przekazano pieniądze do Zalesia, gdzie na każdą mszę przychodzi setki, jeśli nie tysiące ludzi, a do pierwszej Komunii przystępuje co roku blisko dwieście dzieci. Zaczęłem się nad tym zastanawiać. W Zalesiu jest parafia, która musi zbierać, aby zdobyć środki na budulec, ma jednak zaangażowanych i praktykujących wiernych. Parafia w Nicei jest bogata, lecz martwa duchowo. I dlatego, kiedy Ojciec Święty mówi o konieczności reewangelizacji Europy, o powrocie do korzeni chrześcijaństwa, wydaje mi się to absolutnie słuszne. Materializm dialektyczny, który narzucano Polsce, jest mniej groźny od materializmu dnia codziennego, będącego losem Europy Zachodniej. Materializm dialektyczny wywołuje przeciwnie i człowiek staje się mocniejszy duchowo. A materializm dnia codziennego sprawia, że zanika się człowiek, obejrzany jest duchowo trupem.

— Pomówmy zatem o „materializmie dialektycznym”. Jak pan postrzegał polityków komunistycznych? Czy miał pan z nimi kontakty jako korespondent?

— Robiłem swego czasu wywiad z nieświeżej pamięci Todorom Żiwkowem. Było to dość proste i niezbyt męczące. Trzeba było z góry zadać pytania na piśmie. Później doszło do bezpośredniego spotkania, wcześniej jednak wręczono mi tekst z odpowiedziami partyjnego przywódcy Bułgarii. W czasie rozmowy zapewnił mnie, że się cieszy, iż odwiedziłem jego kraj, i to było wszystko.

Miałem też całą serię wywiadów z panem Mieczysławem Rakowskim. W różnych okresach i były o wiele bardziej interesujące, bo oczywiście bez pytań z góry. Na ogół nagrywałem rozmowę na taśmę, a później montuję z niej tekst. Wiem, że to jest niepopularne, ale mam do niego pewien sentyment, zawsze miałem i nie widzę powodów, aby teraz, kiedy PZPR leży, nie powiedzieć, że to człowiek inteligentny i otwarty. W prywatnych rozmowach już jakieś 15 lat temu mówił mi o konieczności daleko idących reform o orientacji socjaldemokratycznej. Szkoda, że jego idee nie zostały zrealizowane. Byłem u niego na Mazurach. Znakomicie smażył placki kartoflane, doskonale łowi raki i ma mnóstwo nieznanymi zalet towarzyskich.

W odróżnieniu od Jerzego Urbana, który czuje się dobrze tylko wówczas, gdy go wokół nienawidzą, Rakowski musi być kochany. Zawsze był przekonany i wiara ta nie opuszcza go do dzisiaj, że postępuje najlepiej jak tylko można w danej sytuacji. Dlatego wszyscy zobowiązani są go kochać, a kiedy nie dostrzega należnej mu miłości, potwornie go to denerwuje. Zawsze był nie lubiany przez część aparatu i wobec tego, wbrew własnemu pogłębieniu, wypowiadał różne rzeczy, aby uspokoić ten aparat. Doprowadziło to do fatalnych skutków. A poza tym jest trochę naiwny. Przypominam sobie strajki gdańskie w 1980 r. Był to dla mnie, jako dziennikarza, najwspanialszy okres, spaliśmy z robotnikami na podłodze. Zrozumiałem wówczas, że nie mam złeńonego pojęcia o polskiej klasie robotniczej. W stoczni zobaczyłem ludzi o fantastycznym wyrobieniu politycznym i poczuciu realizmu. Wiedzieli, co jest możliwe, a co nie. Była to dla mnie, jako korespondenta, lekcja skromności.

W czasie strajku jeździłem do Warszawy, aby nadawać korespondencje do Francji. Na początku września spotkałem się z Rakowskim, opowiadał mi swoje wrażenia. A on na to: — „Tak, tak, ci robotnicy są wspaniali, to przyszła kadra naszej partii”. Zrozumiałem, że ideałem Rakowskiego byłoby robić „Solidarność” w partii, co było z wielu względów niemożliwe.

Pamiętam, że odwiedziłem go także w okresie stanu wojennego, był wtedy wiceministrem. Powiedział mi: „Sytuacja jest bardzo zła, bo Kociolę i Olszewski chcą iść na całego, a my z generałem pragniemy uratować reformy. Potrzebujemy pomocy. Powinna nas poprzeć inteligencja, a tymczasem odwracają się od nas”. — „Kiedy robiliście 13 grudnia, zapytałem, czyba nie oczekiwaliście, że inteligenci będą was całować?” — „No tak, stwierdził, ale powinni zrozumieć polityczny sens tych wydarzeń”.

— Nie wszyscy chyba, z którymi pan się spotkał, byli równie otwarci jak Mieczysław Rakowski? Na czym polega specyfika pracy korespondenta zagranicznego w takim kraju jak Polska przed czerwcowymi wyborami?

— Być korespondentem to bardzo odpowiedzialne zajęcie. Pracuję też zupełnie samodzielnie, a szef jest daleko, jakieś dwa tysiące kilometrów i wszystko trzeba zrobić samemu, od zdobycia informacji po jej opracowanie i ekspedycję. Nie wierzę w obiektywizm, ale staram się być uczciwy. Co dzień rano mam wątpliwości, czy to, co napisałem albo pokazywałem, nie jest dla kogoś zbyt krzywdzące. Albo zbyt łagodne. Korespondent nie jest od tego, aby osadzać. Musi zrozumieć i przekazać innym to, co dzieje się w kraju, gdzie przebywa. Nie powinien nic narzucać. Trzeba zostawić czytelnikowi możliwość własnego osądu sytuacji. Niech nikt nie oczekuje ode mnie, że powiem: rząd Mazowieckiego jest wielką szansą, ale już popełnił takie a takie błędy. To nie moja rola.

— Ale dostrzega pan błędy nowego rządu?

— Mówiłem na ten temat z panią Niezabitowską. Zmienia się bardzo dużo w codziennych strukturach, dostrzegam pragmatyzm. Ale brak wizji, do czego to wszystko ma prowadzić, jaka ma być ta inna Polska. Ludzie z rządu mówią, że to dobrze, trzeba zmieniać wszystko krok po kroku, bez wielkich słów. Ja się z tym nie zgadzam. Sądzę, że potrzebna jest również wizja. Jeśli ludzie mają się zaangażować, to muszą wiedzieć, że rzeczywiście buduje się inną cywilizację, inny świat. I tego mi brak, nie tylko w Polsce, także na Zachodzie. Jeśli twierdzą, że prosimy Polskę o pomoc, to z nadzieją, że potrafią budować nową cywilizację, która nie będzie ani komunistyczna, ani kapitalistyczna. Mam na myśli cywilizację miłości, solidarności międzyludzkiej, gdzie w całej pełni będzie się szanować jednostkę ludzką. W okresie pierwszej „Solidarności” uderzyło mnie, że ludzie, którzy wcześniej klócili się, byli zdenerwowani, raptem zaczęli się uśmiechać, stali się uprzejmi. Nigdy tego nie zapomnę. Nie znaczy to, że można zapominać o niewesołej rzeczywistości, trudzie dnia powszedniego, warunkach bytu. Rzeczywistość tę trzeba zmieniać, ale nie wolno zapominać o budowie nowej cywilizacji w oparciu o społeczną naukę Kościoła. Nie wszyscy muszą się z tym zgodzić, ale ten kierunek działania wydaje mi się istotny.

— Wróćmy wszakże do krajobrazu Polski sprzed wyborów czerwcowych. Jakże były warunki pracy korespondenta?

— Praca była trudniejsza, ale o wiele ciekawsza. W pewnym okresie bardzo intensywnie interesowało się korespondentami SB. Nawet w niedzielę, gdy wychodziłem na spacer z psem, miałem całą asystę. Ci panowie zachowywali się w sposób demonstracyjny. Pamiętam jak na Puławskiej jeździł za mną żółty fiat. Dojechałem do placu Unii, zacząłem krążyć. A tamci za mną. Kiedy zostałem wydłony z Polski, prawie cztery lata przebywałem w Wiedniu. I tam spotkałem się z żoną naszego sąsiada z ul. Malczewskiego, młodego architekta. Powiedział mi: — „Teraz mogę wyznać, mój rodzice byli bardzo zadowoleni, kiedy państwo wyjechałście z Polski. Nie, nie dlatego, że was nie lubili. Tylko przez cały

czas pobytu, jeden pokój w naszym mieszkaniu był zajęty przez wiadome służby”. To już czasy minione, choć ciekawe. Pamiętam w pierwszym okresie „Solidarności” momenty niesamowite w gabinecie kolegi prezesa Stefana Bratkowskiego. To wspaniały człowiek i w moich pamiętnikach opowieść kiedyś, co się tam zdarzyło. A były to chwile, kiedy zostali zażegnane różne dramaty dzięki łancuszkowi: Bratkowski — Rakowski — Skibniewska — Orszulik. Pyszne były te rozmowy z księdzem Orszulikiem, obecnie biskupem.

W tamtym okresie trzeba było mozolnie rekonstruować rzeczywistość, poznać częściową prawdę od jednego rozmówcy, drugiego i tak stworzyć sobie obraz całości.

Spotkałem się w Ameryce ze znakomitym korespondentem A. Smithem, który długo przebywał w Rosji i napisał wspaniałą książkę o swoim pobycie. Mówił, że być korespondentem w kraju socjalistycznym, jest bardzo fascynujące dla dziennikarza: musi codziennie odkrywać Watergate. I coś z tego chyba było. Czytałem sumiennie prasę, łącznie z „Trybuną Ludu”. Myślałem, że za to otrzymam w przyszłości jakieś odpuścić w niebie, ale to okazało mi zaledwie 10 procent tego, co powinienem wiedzieć, aby rozumieć, co się dzieje w kraju. Teraz ta gazeta stała się ciekawsza. Trzeba było spotykać się z ludźmi, aby usłyszeć, co się zdarzyło naprawdę. Kontakty z ludźmi zawsze mnie interesowały, a trzeba było mieć dobre stosunki z ludźmi, niezależnie od ich orientacji politycznej. Znam na przykład od dawna pana Lecha Wałęsę, razem spędziliśmy część urlopów u o.o. Pallotyńów w Zakopanem. To znaczy, kiedy on kończył wypoczynek, ja przyjeżdżałem w góry, ale mieliśmy dla siebie jeden dzień na wymianę poglądów.

Albo miałem też kontakty z ludźmi z partii, z KC, którzy znali interesujące rzeczy. Stosunki zaufania trzeba budować ze wszystkimi, których się zna. Ktoś taki z KC mówił: — „To możesz napisać polewując się na mnie”. Albo stwierdzał: — „Tego nie pisz, bo będę wiedział, skąd ta informacja”. Miałem takiego zaufanego z PZPR, znaną osobistość, jednak już nie żyje. Miał taką manię, że zgadzał się rozmawiać o rzeczach istotnych tylko w lesie, pod Warszawą. Uważał, że inaczej zbytby ryzykował. Dzisiejsze możliwości podsłuchowe są takie, że ta ostrożność graniczyła z naiwnością, ale dla mnie było to przyjemne, bo lubię chodzić po lesie.

— Czy był pan pierwszym korespondentem, który przesłał z Polski informacje, o stanie wojennym?

— To ogromny temat i uprzedzam, że już telewizja poprosiła mnie o wspomnienie z nocą 13 grudnia 1981 r. Na sobotę wieczór byliśmy zaproszeni z żoną na kolację do dyplomaty amerykańskiego w Aninie. A podczas przyjęcia wszyscy zadawaliśmy sobie pytanie, dlaczego Kulikow przyjechał do Warszawy, co tutaj robi od dwóch dni.

— Czy spodziewał się pan tego, co nastąpi?

— W sobotę rano wysłałem ostatnią korespondencję do Francji. Pisałem o tym, że ktoś zawiadomił KKK „Solidarności” w Gdańsku o pogotowiu w wojsku. A zatem czy nie zostanie ogłoszony stan wojenny. Miałem także zdjęty przez cenzurę w „Słowie Powszechnym” artykuł pana Ryszarda Reiffa, pod charakterystycznym tytułem: „Nie dopuścić do przelewu krwi”. Autor stwierdzał, że gdyby ktoś chciał doprowadzić do konfrontacji, konsekwencje tego będą dla kraju dramatyczne. I to właśnie było treścią mojej korespondencji do Paryża.

— Myślę, że jako rasowy korespondent nie ograniczył się pan tylko do korespondencji. W powietrzu przecieć coś wisiło...

— Nie spałem całą noc. Wieczorem, podczas kolacji, był do gospodarza telefon, że przestały funkcjonować teleksy. Później okazało się, że brak telefonicznego połączenia z Poznaniem. Zorientowaliśmy się, że coś nie gra i wyszliśmy z przyjęcia. Wspólnie z Jackiem Kalabińskim i jego żoną Basią, która także jest architektem i pracowała nawet w tym samym zespole, co moja żona. Przypadkowo też byli na tym przyjęciu. W Aninie z budki telefonicznej próbowaliśmy połączyć się z centrum Warszawy. Działało jeszcze tylko połączenie ze Starym Miastem. Wszedliśmy więc do samochodu. Kiedy dojeżdżaliśmy do placu Na Rozdrożu ujrzeliśmy kolumnę wojskowych samochodów. Na naszych oczach została zablokowana Mokotowska, gdzie mieściła się siedziba „Solidarności”. Krażyliśmy po Warszawie całą noc. Wspólnie z Kalabińskim, który był prezesem oddziału warszawskiego SDP, zastanawialiśmy się, czy to tylko pucz twardogłowych, czy też akcja krajowa. Odpowiedzieliśmy kilku kolegom z radia. Jeden z nich rozjeżdżał się i stwierdził: zielono wszędzie. Byliśmy także u Haliny Skibniewskiej. Ona także nie wiedziała, co się stało. Była najwyższym rangą w Polsce członkiem „Solidarności”, pełniła funkcję wice-marszałka Sejmu. Wreszcie podjechaliśmy pod mieszkanie Jacka. On przetrwał w samochodzie, a na zwiady udała się jego żona. Szybko wróciła mówiąc: — „U Jacka wywalił drzwi”. Jeździliśmy więc dalej, a gdzieś koło piętnast nad ranem trafiliśmy do pana Stommy. W pokoju jego syna leżała na stole książka pt. „Słońce wschodzi trzynastego grudnia”.

Pan Stomma był bardzo spokojny i zaczął tłumaczyć, co się prawdopodobnie wydarzyło. Jego słowa potwierdziły się godzinę później, kiedy wygłosił swoje przemówienie gen. Jaruzelski. Z jednym wyjątkiem. Pan Stomma przewidywał, że zostanie rozwiązana również PZPR.

Zastanawialiśmy się z Jackiem, gdzie można go zostawić. U bardzo bliskich przyjaciół było niebezpiecznie, bo milicja mogła go tam łatwo znaleźć. Jednocześnie istniało ryzyko, że dalsi znajomi nie zechcą go przyjąć. Ale ostatecznie wybrał dobre miejsce, był tam przez parę miesięcy.

Oto dramata korespondenta, który może być uwikłany w różne sytuacje.

(Zapis rozmowy powstał podczas spotkania tego samego korespondenta prasy i telewizji francuskiej na Europejską Wschodnią w łódzkim oddziale Stowarzyszenia Tłumaczy Polskich).

Rozmawiał: KONRAD FREJDLICH

Dokończenie w numerze noworocznym

Ryszard Badowski przedstawia przedziwne dzieje dwu polskich generałów, Irlandczyka i Holendra. Córka Maurycego Haukego wyszła za mąż za księcia Aleksandra heskiego. Jej synem był Aleksander I książę Bułgarii, wnukiem wielokróli Indii Louis Earl Mountbatten of Burma, prawnuk jest mężem królowej brytyjskiej.

Książę Karol miał polskiego praprapradziadka, w którego żyłach nie płynęła wszakże ani jedna kropla polskiej krwi.

W felietonie z „Różnych szuflad” Andrzej Kempa przypomniał niechlubny pomnik siedmiu zdrajców Polski, który został wystawiony w Warszawie car Mikołaj I („Odgłosy” nr 48, 26 listopada 1989). Niemal równocześnie Telewizja Polska odtworzyła postacie niektórych z nich w spektaklu Kazimierza Radowicza „Tajny wiezien stanu” (Teatr Telewizji, 27 listopada, reż. B. Poręba). Mam na myśli członków sądu wojakowego, który skazał na ciężką twierdzę Waleriana Łukasińskiego.

Dwaj nosili cudzoziemskie nazwiska: Ignacy

Zginęli w Noc Listopadową 1830 roku. Potomek jednego z nich zasiadł na brytyjskim tronie.

Echa Nocy Listopadowej

RYSZARD BADOWSKI

Blumer i Maurycy Hauke. W pamiętną noc listopadową pierwszy padł od polskich kul pod Arsenalem, drugi — przed Pałacem Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu.

„Świetny żołnierz, dobry Polak”

Ignacy Blumer, właściwie O'Bloomer, pochodził ze starej szlachty irlandzkiej. Jego dziad, pułkownik angielski, przeszedł jako instruktor do służby rosyjskiej. Ojciec osiedlił się i ożenił w Polsce. Sławę bojową Ignacy Blumer zdobywał w kawalerii narodowej, biorąc udział w Insurekcji Kościuszkowskiej. Później był żołnierzem Legionów Polskich we Włoszech. Przeszedł kampanię w San Domingo. Uczestniczył w bitwie pod Raszynem.

W wojnie 1812 roku odznaczony się przy szturmie Smoleńska, gdzie Napoleon mianował go pułkownikiem. Pod Możajskiem otrzymał krzyż kawalerski Legii Honorowej. W kampanii rosyjskiej swoje bataliony wprowadził z okrzewieniem w zwartych czworobokach przez szczyt rosyjskie. Murat i książę Józef Poniatowski przedstawili go za to do awansu na generała.

Podziwiał go Wielki Książę Konstanty. Gdy powstało Królestwo Polskie nadał Ignacemu Blumerowi węgierski generał brygady. Jako słuzba Blumer stał się „generałem pistoletem” Konstantego. Potem Waleriana Łukasińskiego. Skazywał na ciężkie kary szeregowych.

29 listopada 1830 roku, przekonany o tym, że powstanie stanie się nieszcześciem dla kraju, próbował przemówić do zbuntowanych żołnierzy pod Arsenalem. Został pchnięty bagnietem i dobity kulami. Polski Słownik Biograficzny pisze o nim: „Świetny żołnierz, dobry Polak, legł — zrzuceniem losów — od kul własnych rodaków”.

Zoną jego była włoska hrabina Ceccopieri. Jego biograf, Wacław Tokarz, nie podaje, czy miał dzieci.

Syn holenderskiego oficera

Ojciec Maurycego Haukego nazywał się van Hauck, pochodził z flamandzkiego rodu de Haacken, i był oficerem holenderskim w służbie starosty warszawskiego Ałojzego Brühla, generała artylerii konnej. Jego syn przyszedł na świat w Saksonii i choć w jego żyłach nie płynęła ani jedna kropla polskiej krwi uważał się za Polaka. Walczył w powstaniu 1794 roku w obronie Warszawy, przedarł się do Włoch na wieść o tworzeniu się legionów polskich. Za męstwo i sprawność dowódczą na polu walki miał pochwały od Tadeusza Kościuszki i generała Henryka Dąbrowskiego. Był w oblężeniu Gdańska. W bitwie pod Tczewem uzyskał Legię Honorową. Otrzymał też Krzyż Wirtuti Militari. Dowodził „bohaterską obroną Zamościa”.

W Królestwie Polskim Wielki Książę Konstanty powołał go na stanowisko kwatermistrza

generalnego Wojska Polskiego, później uczynił zastępcą ministra wojny. W 1826 roku Maurycy Hauke został generałem broni w artylerii.

Holender w polskim mundurze był zwolennikiem porządku i ślepej karności w wojsku. Dlatego w procesie Waleriana Łukasińskiego orzekł: „winien”. Stając się narzędziem wielkiego księcia zraził młodych oficerów, przygotowujących spisek przeciwko Konstantemu. Jego zgładzenia w chwili wybuchu powstania domagali się Zaliwski i Mochnacki.

29 listopada 1830 roku generał broni Maurycy Hauke w towarzystwie paru wyższych oficerów ruszył przeciw zbuntowanym podchorążym. O godzinie 20 natknął się na nich przed Pałacem Namiestnikowskim na Krakowskim Przedmieściu. Został rozpoznany. Powstańcy dali ognia.

Z mundur zabił go zdarto szlify i gwiazdy orderowe rosyjskie (miał Order św. Anny I klasy z brylantami), zostawiając odznaczenia polskie i francuskie. Złotki Haukego pochowano w kościele Kapucynów w Warszawie. Jego nazwisko trafiło na pomnik hańby narodowej. Ale historia rodu Hauków na nim nie wygasła.

Z piętnem syna zdrajcy ojczyzny

Władysław Leopold Maurycy Hauke, syn generała-zdrajcy, w nocy 29 listopada 1830 roku został aresztowany. Zadeklarował jednak udział w powstaniu i stanął jako dowódca dwu batalionów na placu Prymasowskim. Bił się dzielnie pod Wawrem i Grochowem, później pod Ostrołęką. Otrzymał złoty Krzyż Wirtuti Militari.

Podobnie jak ojciec był artylerzystą. Na emigracji we Francji prowadził kursy dla wojskowych polskich w Paryżu. W czasie Wiosny Ludów zgłosił się do służby w Legionie polskim we Włoszech. Miał wszakże konflikt z podkomendnymi, którzy zarzucali mu obojętność dla idei Adama Mickiewicza i sprawy rewolucyjnej. Wyprowadził swą rodzinę do Francji. Wrócił do Francji. Wkrótce wyjechał do Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej. W 1852 roku zmarł w Nowym Orleanie.

Jedną z dwóch córek generała Maurycego Haukego, Zofia, została pisarką dla dzieci. Wyjechała za mąż za prezesa teatrów rządowych Warszawy i zarządcę pałaców cesarskich, generała-majora Aleksandra Haukego, swego dalekiego krewnego.

Znaczenie ciekawiej potoczyły się losy drugiej córki, Julii.

Matka książąt, babka królów

Stara flamandzka rodzina van Hauck (de Haacken) była spokrewniona z heskimi Battenbergami. Ten niemiecki hrabiowski ród wygasł około 1314 roku. Nazwisko Battenberg i tytuł wzniesiono za sprawą Julii Hauke, która w 1851 roku wyszła za mąż za młodszego syna księcia heskiego Aleksandra.

Sama Julia, prawo do tytułu hrabiowskiego uzyskała po ojcu. Car Mikołaj I po swej koronacji nadał bowiem w 1829 roku generałowi Maurycemu Haukemu tytuł hrabiowski z dotacją 100 tysięcy złotych.

W 1858 roku potomkowie księcia Aleksandra i hrabiny Julii Battenberg z domu Hauke uzyskali tytuł książęcy. Ich najstarszy syn Ludwik ożenił się z wnuczką królowej Wiktorii. W czasie I wojny światowej zmienił nazwisko Battenberg na Mountbatten (niemieckie Berg i angielskie mount znacząco samo — góra). Drugi syn, Aleksander, panował w latach 1879—88 w Bułgarii jako książę Aleksander I Battenberg. Protoktorem Aleksandra I Battenberga był car Rosji Aleksander II, ożeniony z jego ciotką, księżniczką Maksymilianą Wilhelminą Augusta Marią heską, którą w Rosji nazywano Marią Aleksandrowną, (za jej brata wyszła Julia Hauke, stając się szwagierką cesarza). Ród książąt heskich spokrewniony był ponadto z domami panującymi w Grecji, Hiszpanii i Szwecji.

Wnuczka Julii Battenberg-Hauke, Alicja, wy-

szła za mąż za greckiego księcia Andrzeja, króla Grecji Jerzego I. Jej brat, admirał brytyjski Louis Earl Mountbatten of Burma, był ostatnim wielokrólem Indii.

Admirał Mountbatten zasiadł jako naczelny dowódca sił alianckich w Azji Południowo-Wschodniej w latach 1943—46. Kierował operacjami, które doprowadziły do wyparcia Japończyków z Birmy i strefy Oceanu Indyjskiego. Był autorem planu podziału Indii Brytyjskich na Indie i Pakistan. W latach 1847—48 sprawował funkcję generalnego gubernatora niepodległych Indii, które wówczas miały statut brytyjskiego dominium. Potem dowodził siłami morskimi Wielkiej Brytanii, a także siłami NATO na Morzu Śródziemnym. Przed przejściem w stan spoczynku był pierwszym lordem admiralicji oraz przewodniczącym komitetu szefów sztabów Wielkiej Brytanii. Zmarł w 1979 roku.

Powtórmy: był wnukiem Julii Hauke i prawnukiem polskiego generała Maurycego Haukego.

Mąż królowej Elżbiety II

W czasie II wojny światowej służył w brytyjskiej marynarce wojennej urodzony w 1921 roku książę Filip grecki, syn Alicji, wnuczki Julii Hauke, siostry admirała Louisa Mountbattena. W 1947 roku przyjął obywatelstwo brytyjskie i jako książę Edynburga poślubił następczynię tronu Wielkiej Brytanii. Dziś jest mężem królowej Elżbiety II.

Ich syn, książę Karol, następca tronu Anglii jest prapraprawnikiem generała Maurycego Haukego przez ojca (a prapraprawnikiem królowej Wiktorii, zarówno przez ojca jak i przez matkę).

Książę Filip przyjął nazwisko wujki admirała Louisa Mountbattena, które było zarazem nazwiskiem jego dziadka i panińskiego nazwiskiem matki.

Polskie fatum

Polskie fatum wplotło się nie tylko w śmierć Maurycego Haukego. Zaciążyło również nad losami jego wnuka, Aleksandra I Battenberga, księcia Bułgarii. Władca wyzwolonej Bułgarii uczynił go w 1879 roku car Rosji Aleksander II, którego żona Maria Aleksandrowna była księżną heską. W 1881 roku w cara Aleksandra II rzucił bombę Polak, Ignacy Hryniewicz, członek Narodnej Woli. Aleksander I Battenberg stracił protektora.

Nowy car, Aleksander III, nieufnie patrzył na flirt Bułgarii z Austro-Węgrami i Niemcami. W 1886 roku oficerowie bułgarscy sympatyzujący z Rosją aresztowali księcia Aleksandra I Battenberga, zmusili go do opuszczenia tronu i udania się na emigrację.

W powstaniu 1863 roku

Ród Hauke wydał jeszcze jednego generała polskiego, powstańca 1863 roku. Był nim Józef Ludwik Hauke-Bosak. Ojciec Józefa Ludwika był carskim adiutantem. Syna oddał do Korpusu Paziów. Przyszły powstańca styczniowy był kornetem w pułku gwardyjskim, w wieku 23 lat został adiutantem ministra wojny, w wieku 25 lat podpułkownikiem.

Powinowactwo z rodziną carską otworzyło mu drogę do dworskiej kariery. Zbliżył się jednak z Trauguttem. Opracował plan działań wojennych w Krakowskim i Sandomierskim. Planował duże zgromadzenie sił powstańczych w Górach Świętokrzyskich, osłaniane przez partyzantkę chiłską. Uczestniczył w wielu bitwach (zajęcie Opatowa, rajd na Szczekociny, potyczka pod Iłżą). Po upadku powstania udał się do Włoch. Poznał się z Garibaldim, nawiązał kontakt z Bakuninem. Określił się jako republikanin. Zabiegał o utworzenie Legionu Polskiego, wspierającego Garibaldi, przewidyując na szefa sztabu generała Jarosława Dąbrowskiego. Był zwolennikiem strajków powszechnych w walce robotników o 8-godzinny dzień pracy. Po wybuchu wojny francusko-pruskiej objął dowództwo brygady we francuskiej Armii Wogeów. Poległ w 1871 roku pod Dijon wstrzymując z garstką ludzi natarcie wielokrotnie przeważającego nieprzyjaciela. Pozostawił 3 córki i syna Maurycego, stale osiadłego we Francji.

Zaiste, była to niezwykła rodzina. W dziejach Polski odniosła widoczne piętno. Nie można zatem pamiętać jedynie epizodu Nocy Listopadowej przed Pałacem Namiestnikowskim i salwy, od której zginął 159 lat temu generał Maurycy Hauke.

NOWA HUTA: — Przy hucie stało popiersie i wystarczyło

Dzieje nie chcianego pomnika

ZOFIA KĘDZIÓRA

Z kiosków wykupione zostały wszystkie pocztówki, na których był pomnik. Jak nigdy dotąd, nie kościół w Mistrzejowicach poświęcony przez papieża, nie Kościół Arka ze słynną rzeźbą Chrystusa autorstwa Chromego, ale monument przy alei Róż stał się w Nowej Hucie miejscem najczęściej odwiedzanym. Robiono sobie jeszcze ostatnie zdjęcia.

— Pewnie długo nie postoi — mówili ludzie. Gdy spadł śnieg, dzieci wybrały sobie pomnik za cel zorganizowanego obstrzału. Już wkrótce całą postać oblepiły piguły śnieżne. Zabawa była wyraźnie atrakcyjniejsza od sanek poruszonych w pobliżu. Nikt z dorosłych nie reagował na te igraszki.

Monument stanął w środku alei między rzędami kamienic. Wyparł fontannę, krzewy i przepiękne, podobno, róże. Z tych róż pozostała tylko nazwa — aleja Róż. Już wtedy ludzie protestowali, ale kto chciał ich słuchać.

Na początku lat siedemdziesiątych budowę pomnika zainicjował pierwszy sekretarz podziałowej organizacji partyjnej w hucie — Nowotny.

— Komu był potrzebny? — wspominały mieszkańcy okolicznych domów. — Przy hucie stało popiersie i wystarczyło.

— Tamto stare popiersie — dopowiada ktoś — zabrali, jako za skromne i schowali do magazynu w hucie.

W połowie lat siedemdziesiątych został podłożony ładunek wybuchowy pod prawym butem monumentu. Wilny ładunek. W sąsiednich budynkach, powypadały szyby z okien, gdy eksplodował. Rzeźba okazała się być zrobiona z solidnego, mocnego materiału — pozostała niezwieszona. Odpadła jedynie pięta.

Zasłonięto pomnik rusztowaniami. Nie wypadało, żeby przywódcą stał... bez pięty. Renowację prowadzono w pośpiechu.

Zawsze tam, pod pomnikiem, dwa razy do roku, wiosną, kiedy przypadała rocznica jego urodzin i jesienią, na pamiątkę rewolucji wręczano z pompą legitymacje partyjne. Zawsze tam, w czasie stanu wojennego odbywały się wiece. Stamtąd ruszały manifestacje. Tam najczęściej odbywało się „pałowanie”. Ale i na pomniku najbardziej odbijało się niezadowolenie i desperacja tłumu. Raz nawet manifestanci postanowili pomnik rozebrać. Ruszyli z łomami i kilofami. Zdążyli zdjąć granitowe płyty postumentu. Wtedy z tłumem zmierzyla się milicja wspomaganą przez wojsko. Było to najbardziej słumione wystąpienie.

I znów pomnik pokryło rusztowanie. Na odsłonięcie, po renowacji obecny był, jak opowiadali ludzie mieszkający w najbliższych domach i Wojciech Jaruzelski, i Czesław Kiszcak. Składali kwiaty.

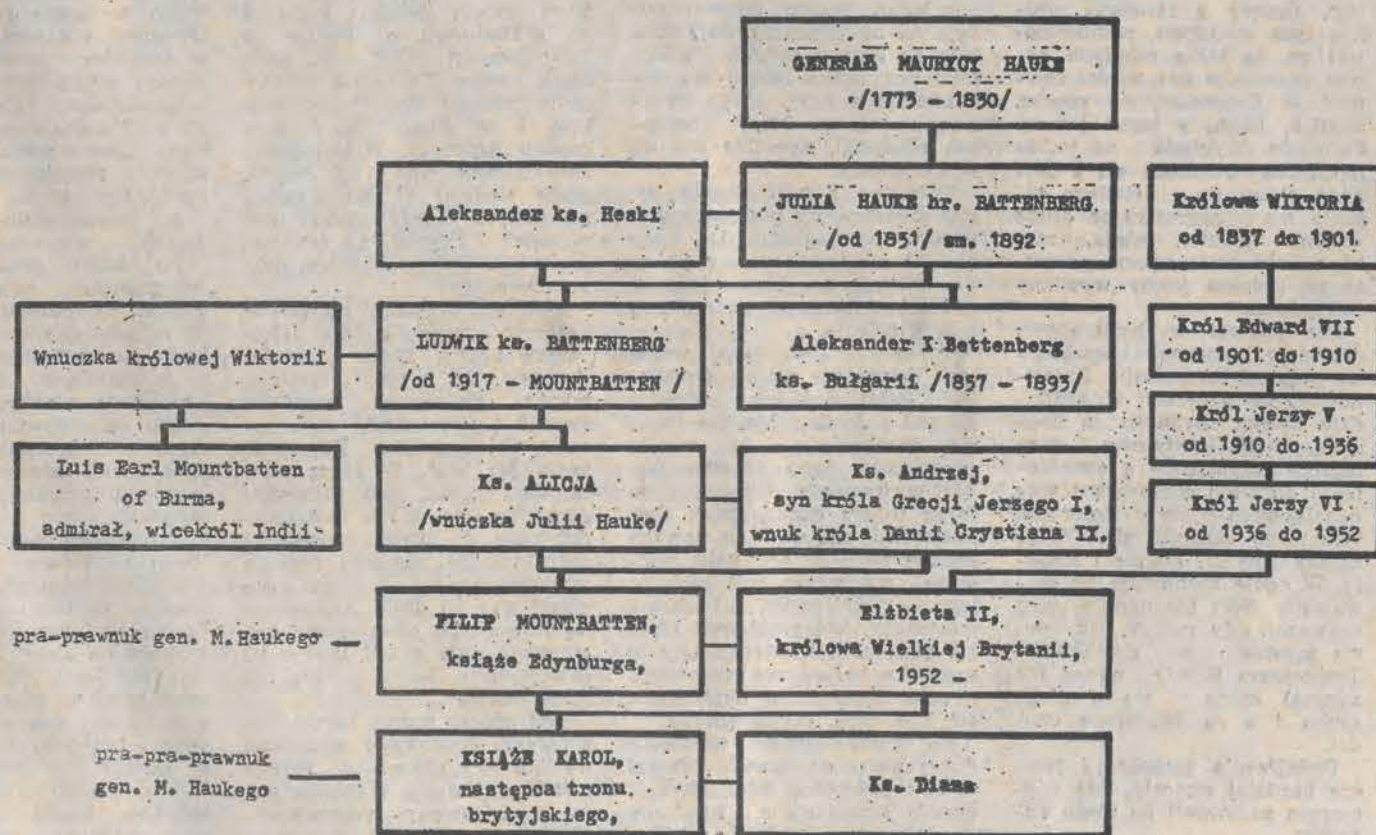
W latach osiemdziesiątych było kilka prób podłożenia ładunków wybuchowych pod niechcianym monumentem. Żeby temu zapobiec, ustawiono w rogu placu budkę wartowniczą. Kolejne rocznice wprowadzenia stanu wojennego wiązały się z wybuchami, niechęcią w stosunku do pomnika. Szczególnie przed ostatnią, piątą rocznicą protest był bardzo zdecydowany.

Zapadło postanowienie, że manifestacje odbywać się będą co środa, aż do momentu, gdy nie zapadnie decyzja o usunięciu pomnika. Szczególnie gwałtowne wydarzenia miały miejsce 6 grudnia 1989 roku. Manifestanci zaczęli zbierać się około godziny 16. Wokół pomnika stał szpaler zomowców — ludzie mówili między sobą, że przyjechali do Nowej Huty z Katowic. Tłum był coraz większy i coraz mniej łagodny.

Najpierw ludzie rzucali pieniądze — na podłóż. Potem polecieli pojemniki z farbą, najczęściej białą. Potem i butelki z benzyną. Ktoś podał pomysł, aby zrobić ognisko. Pościągano więc ławki stojące wokół, potem i drewnianą budkę wartowniczą. Ogień najpierw objął dół, potem zajęły się partie postaci polane benzyną. Rzeźba wyglądała wtedy jak pochodnia.

Tymczasem ZOMO wycofało się w kierunku siedziby MO. Odprowadziło ich tłum skandujący „milicja — gestapo”. Około godziny 20 był już spokój. Na placu pozostała figura upstrzona resztkami farby. Z postumentu wyrwane zostały mosiężne litery, jeszcze tak niedawno tworzące napis: WŁODZIMIERZ ILJICZ LENIN.

W niedzielę 10 grudnia o godzinie 18, zgodnie z decyzją Rady Narodowej i prezydenta Krakowa na alei Róż pojawiły się dźwięki. Bez kopotów podcięte zostały palnikiem acetylenowym stopy i pomnik poszybował w górę. Został przeniesiony do fortu we Wróblewicach, gdzie ma zostać poddany pracom konserwatorskim. Decyzja, gdzie stanie potem, zostanie dopiero podjęta.



CZECHOSŁOWACJA

W bratysławskiej „Pravdzie” ukazał się artykuł profesora Jana Lazara, w którym to artykule autor ujawnia „apokaliptyczny obraz stosunków, jakie panowały przez ostatnie 20 lat na Słowacji”. Środowisko prawnicze wiedziało o tych praktykach, ale było bezsilne. Zdaniem prof. Jana Lazara skorumpowane były instancje partyjne i aparat administracyjny w miastach i gminach. Nielegalnych praktyk dokonywano w legalny sposób, co brzmi jak paradoks. Wyremontowaną na przykład za państwowe pieniądze willę kupowano za śmiesznie niską cenę, przeceniano grunty, zasypywano urzędników z różnych okazji prezentami, aparat partyjny i administracyjny wyposażony był w całą gamę przywilejów. Z niefrasobliwą szczodroliwością rozdawano renty socjalne, przede wszystkim tym, którzy „walczyli z kontrrewolucją w 1968 roku”.

Jak ujawnili ukazujące się poza oficjalnym obiegiem „Lidove Noviny” najwięcej odznaczeń państwowych w CSRS mieli... Gustaw Husak i Leonid Breżniew.

Gustaw Husak posiadał:
— trzy tytuły Bohatera CSRS (1968, 1973, 1983),
— trzy Ordery Klementa Gottwalda (1968, 1973, 1983),
— Order Republiki (1978),
— Order Zwycięstwa Lutowego.
Leonid Breżniew posiadał czzechosłowackie odznaczenia:
— trzy tytuły Bohatera CSRS (1970, 1976, 1981),
— cztery Ordery Klementa Gottwalda (1970, 1976, 1980, 1981),
— Order Białego Lwa I klasy z łańcuchem — odznaczenie nadawane wyłącznie cudzoziemcom za wybitne zasługi.

KRL-D

Diennik wychodzący w Hongkongu „South China Morning Post” ujawnił rozbieżności, jakie powstały w poglądach między Kim Ir Senem a Deng Xiaopingiem podczas ich spotkania w Pekinie. Zdaniem Kim Ir Sena polityka reform jest szkodliwa dla socjalizmu, poglądu tego nie podzielał Deng Xiaoping. Podobnie Deng Xiaoping uważał — przeciwnie niż Kim Ir Sen — że w 1990 roku w Igrzyskach Azjatyckich w Pekinie powinny wziąć udział dwie delegacje koreańskie, a nie jedna, jak tego chce Kim Ir Sen.

Z tego samego źródła pochodzi wiadomość o zamiarze zerwania się władzy przez mającego już 77 lat Kim Ir Sena na rzecz jego syna Kim Dzong Ila. Po przekazaniu władzy Kim Ir Sen ma jednak zamiar nadal nadzorować sposób jej sprawowania w Korei Północnej.

Wiadomości te nie znalazły do tej pory potwierdzenia.

W Korei Północnej natomiast zaczęto publikować dawne przemówienia Kim Ir Sena, „aby pomóc członkom partii i ludziom pracy w studiach ideologicznych”. Diennik „Rodong Sinmun” opublikował pełny tekst — przemówienia Kim Ir Sena z 20 listopada 1958 roku wygłoszonego na kursie dla agitatorów i dotyczącego „komunistycznej oświaty”.

RUMUNIA

Napiływają wiadomości z Rumunii o okolicznościach towarzyszących przebiegowi XIV Zjazdu RPK. Na przykład pięciu dziennikarzy węgierskich, udających się do stolicy Rumunii, dojechało do Bukaresztu... pustym pociągami. Rumuni wysadzili z pociągu na granicy z Węgrami wszystkich pasażerów, a dziennikarzy węgierskich przez kilka godzin sprawdzali, czy mają prawo udania się do Bukaresztu.

Korespondent radia sofijskiego nie mógł w żaden sposób połączyć się z Bukaresztu z Sofią i dopiero, gdy radio sofijskie podało, że nie będzie mogło sprawozdawać przebiegu Zjazdu RPK, gdyż korespondent nie ma możliwości połączenia się z redakcją, sytuacja uległa zmianie.

Przedstawiciel TVP — Grzegorz Dzielmidowicz otrzymał zezwolenie na wejście na salę obrad z kamerą telewizyjną, ale został też poinformowany, że kamerę tę odbierze się mu na cały czas trwania Zjazdu RPK.

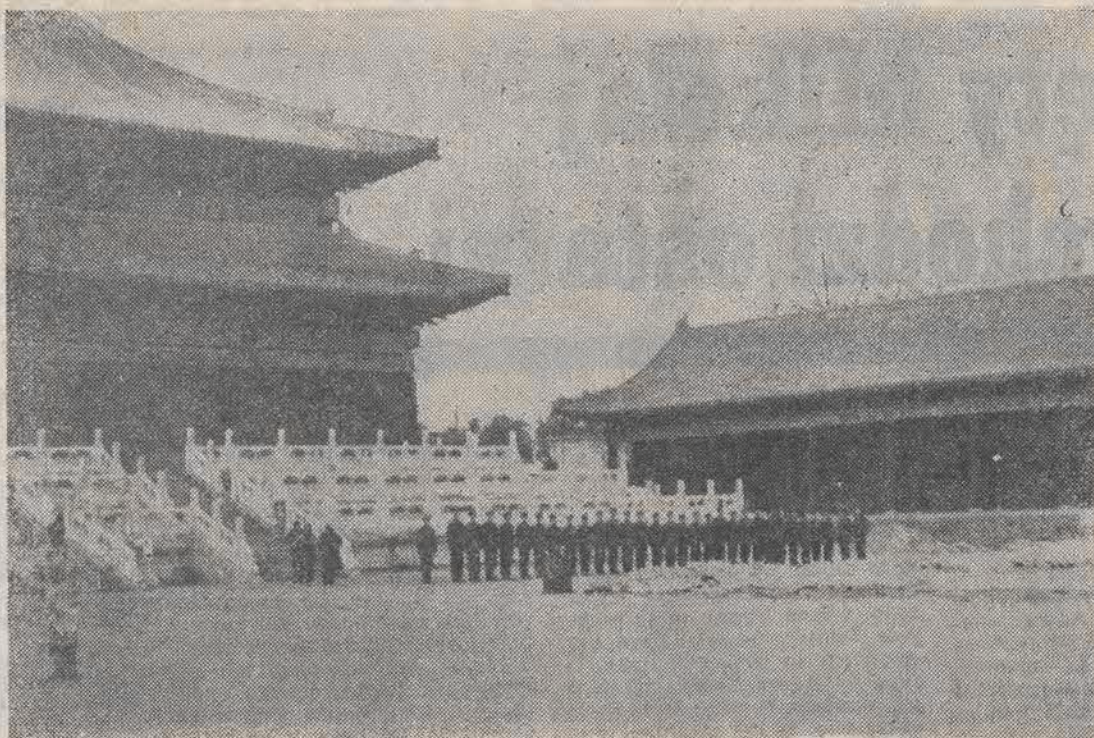
Dziennikarze telewizyjni z Kanady nie mogli w żaden sposób zrozumieć, dlaczego delegaci na XIV Zjazd RPK i przechodnie na ulicy Bukaresztu odmawiają im udzielenia wypowiedzi do mikrofonu i kamery. Jeden z dyrektorów departamentu MSZ, zapytany o to, udzielił następującej odpowiedzi: — Jestem również delegatem na zjazd, stoję przed wami i mogę rozmawiać.

WĘGRY

W dzienniku „Nepszabadsag” ukazał się wywiad z rzecznikiem prasowym Niezależnej Inicjatywy Węgierskiej — Karoly Toh, który demantuje wiadomości rozpowszechniane przez prasę w Czechosłowacji, jakoby na Słowacji przedstawiciele NIW zbierali podpisy pod żądaniem utworzenia „okręgu autonomicznego dla mniejszości węgierskiej”. Karoly Toh kategorycznie temu zaprzecza.

W Słowacji Niezależna Inicjatywa Węgierska zbiera podpisy pod deklaracją popierającą proces demokratyzacji zachodzący w Czechosłowacji, ale nie ma tam ani słowa o autonomii dla Węgrów mieszkających na Słowacji. Zdaniem Karoly Toh jest to bardzo niebezpieczne pomówienie, gdyż może wywołać szereg, które hamująco wpłynęłyby na proces demokratyzacji.

Opracował:
WITOLD BOROWY



Symbol Pekinu, serce Północnej Stolicy, środek całych Chin.

Plac Wymuszonego Spokoju

MARZENA MRÓZ

Plac Tiananmen liczy sobie 400 tysięcy m kw. To ponoć największy na świecie plac defilad. Jest i był świadkiem wielu historycznych wydarzeń, symbolem przemian zapoczątkowanych na jego olbrzymiej, betonowej płycie. To tam w 1919 r. narodził się tzw. „ruch 4 maja” — prąd demokratyzacji, odnowy państwa. To tam 1 października 1949 r. przemawiał do narodu Mao Zedong — ogłaszając proklamowanie Chińskiej Republiki Ludowej. Tam też w styczniu 1976 r. — po śmierci premiera Czou En-laj w dzień chińskiego święta zmarłych Qig Ming odbyła się wielka manifestacja ku jego czci rozgromiona przez milicję i służbę bezpieczeństwa. Na Placu połała się krew. „To kontrrewolucja” — zakrzyknęli rządowi lewacy, „banda czworga”. Ich odpowiedzią na zamieszki było odsunięcie od władzy rzecznika wielkich reform Deng Xiaopinga. Nie na długo.

9 września 1976 r. Plac przemierzał milionowy kondukt pogrzebowy odprowadzający na miejsce wiecznego spoczynku Wielkiego Wodza, Przewodniczącego — Mao Zedonga. I tym razem Plac Tiananmen był świadkiem końca pewnej epoki nazwanej przez badaczy tego problemu — „socjalizmem o chińskiej specyfice”.

Na Placu krzyżują się dwie główne arterie Pekinu: aleja Changan (Wiecznego Pokoju) łącząca wschodnią i zachodnią część miasta (38 km), oraz „oś cesarska” — biegnąca z północy na południe.

Faktycznym budownictwem współczesnego Pekinu był trzeci cesarz dynastii Ming — Jung Lo. Władcy owej dynastii już wkrótce po przeniesieniu się do Pałacu Zimowego w Pekinie zaczęli izolować się od społeczeństwa, zapominając iż to właśnie jemu zawdzięczają oswobodzenie kraju spod niewoli mongolskiej oraz dojście do władzy. Wyrazem owej izolacji władców stał się potrojny pierścień wysokich murów otaczających ich siedzibę.

Za ostatnim murem — wewnętrznym leży wspaniałe Purpurowe Zakazane Miasto (cesarski ogród, kompleks budynków Pałacu Zimowego, pagody, sztuczne jezioro). Wokół Purpurowego Zakazanego Miasta ciągnęły się mury

wego Zakazanego Miasta ciągnęły się mury Miasta Cesarskiego. Zewnętrzny mur, otoczony fosą z całym systemem baszt obronnych chronił przed ewentualnym wrogiem cesarza i jego najbliższych. Dopiero za bramami Miasta Zewnętrznego rozpościerały się przedmieścia stolicy: dzielnice rzemieślników, kupców, herbaciarnie, gospody. Wszystkie ulice w Mieście Wewnętrznym były planowane z zachowaniem zasady idealnej symetrii, główna arteria przecinała całe miasto z północy na południe. To właśnie jest owa „oś cesarska”, na której znajdowały się: południowa brama Miasta Zewnętrznego — Jungtingmen (dziś już nie istnieje), główna brama Miasta Wewnętrznego — Cienmen, oraz bramy Miasta Cesarskiego: Tuanmen i Tiananmen.

Tiananmen jest dziś najlepiej zachowaną, najważniejszą bramą Pekinu. Pełni, a raczej pełniła funkcję trybuny podczas uroczystości państwowych oraz festynów. Zawieszony na niej olbrzymi wizerunek Mao z nienaturalnym w tym miejscu spokojem spogląda na Plac Tiananmen.

Plac jest olbrzymi, spacerując po nim odczuwa się ogrom otaczającej przestrzeni. Na jego środku wzniesione 40-metrowy Pomnik Bohaterów Ludowych — symbol poświęcony pamięci wszystkich Chińczyków walczących o wolność i niezależność. Ciekawą budowlą na Placu jest Mauzoleum Mao Zedonga, w którym spoczywają zabalsamowane zwłoki Przewodniczącego.

W „lepszych czasach”, czyli jeszcze wczesną wiosną 1989 r. można było je zobaczyć. Nie było to oczywiście takie proste, należało odczekać kilka godzin w kolejce, gdyż chętnych do spojrzenia na autentyczne oblicze Mao było bardzo wielu. Dziś nie ma takowego problemu, przed mauzoleum nie ma już kolejki — władze chińskie nie dopuszczają, aby na Placu ludzie gromadzili się.

We wschodniej części Tiananmenu znajduje się Muzeum Rewolucji Chińskiej, czyli Chińskie Muzeum Narodowe.

Część zachodnią zajmuje okazały gmach parlamentu, miejsce zjazdów partii, konferencji. Tuż obok parlamentu znajduje się pilnie strzeżona, odizolowana od świata (zgodnie z chińską prastarą tradycją) posiadłość Zhongnanhai — otoczona wspaniałym parkiem. To prywatna siedziba głównych przywódców państwa chińskiego.

W maju 1989 r. stała na Placu Niebiańskiego Spokoju jeszcze jedna Budowla, po której dziś nie ma już śladu. Była to 9-metrowa kopia Statuy Wolności zbudowana tuż obok Pomnika Bohaterów Ludowych. Jej twórcami byli strajkujący studenci. Stała się symbolem ich dążeń, wielkich marzeń.

Czego chcieli studenci?

Bezpośrednią przyczyną ich protestu było przeświadczenie o konieczności szybkich, radykalnych reform. Nie udało się ich przeprowadzić Hu Yaobangowi — politykowi w którego siły i rację tak bardzo wszyscy wierzyli. Zdezorientowani Chińczycy — przede wszystkim studenci — zniecierpliwieni pogarszającą się sytuacją gospodarczą (galopująca inflacja), społeczną (stałe pogłębiające się rozwarstwienie ludności) i polityczną — wylegli na Plac Niebiańskiego Spokoju.

13 maja 1989 r. kilkuset studentów rozpoczęło strajk głodowy. Takiej scenarii jak w te upalne, majowe dni — na Placu jeszcze nie było. Gęsto usłany wojskowymi namiotami, brezentowymi płachtami, pod którymi leżały setki półprzytomnych ciał z podłączonymi kroplówkami — zdawał się chyba po raz pierwszy w swej historii za mały, choć jak mówią jest przecież największym placem na świecie.

Dla strajkujących noc zamieniała się w dzień. To pod jej osłoną, przy niższej już temperaturze odbywały się największe demonstracje, powiewały flagi i transparenty, rozbrzmiewały hasła — „chcemy demokratyzacji, reform politycznych i gospodarczych”!

Studenci chińscy byli doskonale zorganizowani, mieli za sobą poparcie praktycznie całego społeczeństwa. Wspierani zarówno duchowo, jak i materialnie posiadali olbrzymie szanse na odniesienie zwycięstwa, wywalczenie i przeprowadzenie szeregu niezbędnych dla kraju reform.

Stało się jednak inaczej. Wszyscy pamiętamy tragiczne, majowe wydarzenia, których świadkiem znów stał się Plac Niebiańskiego Spokoju. Po raz kolejny na jego płycie połała się krew. Mówiło się o tym na całym świecie — ale nie w Chinach. Władze chińskie nigdy oficjalnie nie przyznały się do tak olbrzymich strat.

Dziś spójrz na Plac Tiananmen wydaje się być jedynie zaskakująco pilnie strzeżoną go armii. Plac jest otoczony przez szpalery żołnierzy i służbę porządkową. Wejście na jego teren jest wzbronione. Tylko w wyjątkowych przypadkach wydawane są specjalne przepustki — czasowe karty wstępu... Jedynie nielicznym wybrańcom losu udaje się je zdobyć. Czasem pomaga obcy paszport.

Można poruszać się wokół Placu — ale tylko aleją-ulicą, jadąc na rowerze. Poruszający się w ten sposób Chińczycy w bardzo szybkim tempie przemierzają ulicę. Zdają się wcale nie spoglądać na Plac. Olbrzymia masa ludzi i rowerów poddana komendom żołnierzy, nie zdającą sobie sprawy ze swej sily — potulnie skręca — zgodnie z obowiązującym kierunkiem ruchu — w prawo.

Opustoszały Tiananmen robi niesamowite, przynębiające wrażenie. Dawniej — tętniące życiem miejsce ważnych wydarzeń, spotkań, dziś — gorliwie pilnowany przez armię chińską teren zakazany. Nie można korzystać z pobliskich przejść podziemnych, przy których stoją warty nieprzekupnych chińskich żołnierzy. Obecni są oni również w pobliskim Zakazanym Mieście. Dość częstym widokiem jest musztra plutonu odbywająca się w bajecznej scenarii — z pałacem dawnych chińskich władców w tle.

Nienaturalny, wymuszony spokój panujący dziś na Placu kontrastuje z zaludnionymi, gwarowymi ulicami, których pełno dookoła. Trudne życie płynie dalej, choć Chińczycy sami nadszali się nie mogą ogromnej pustce, która zapanała na tej olbrzymiej betonowej tafli. Cóż, tak to jest, kiedy na Placu Niebiańskiego Spokoju wprowadzono ziemski porządek.

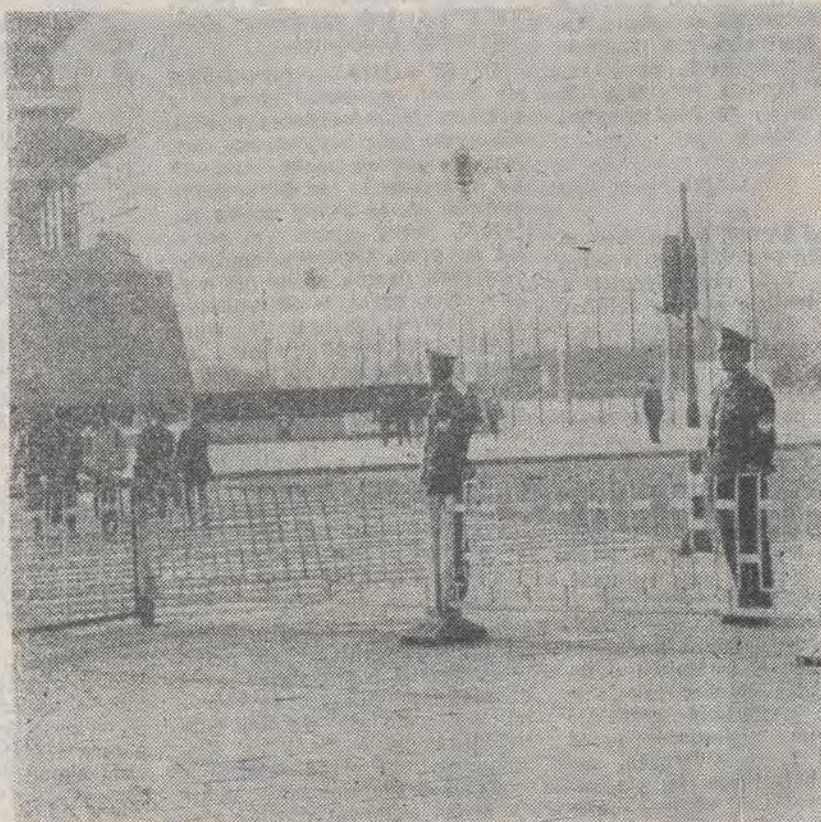


Foto: Jacek Stefanik

Mombasa, jeden z kluczowych portów Afryki Wschodniej, była jeszcze niedawno miastem rozrywkowym, obecnie przeciw dziewczyny nie mają tam łatwego życia. Pewien gość z Białegostoku wyznał mi z wypiekami na twarzy, że zaczęła go na ulicy piękna czekoladka w celach miłosnych. Nie można powiedzieć, aby ten gość grzeszył urodą — bruchaty był i paskudny, po czterdziestce; miałem poważne obawy, czy szczeka, którą posługuje się skurwysyn, nie została przypadkiem zmasztrowana z włókien sztucznych; wszelako uwierzyłem draniowi, że ta dziewczyna czyniła mu awanse.

— Nie zakochała się w panu — powiedziałem.
— Nie?
— Nie.
— To czego chciała?
— Żeby jej pan wydmuchał dziecko.

Nocą w Mombasie zabawa jest jak cholera, ale rzadko wynikają z tego damsko-męskie sprawy. Mowa oczywiście o sprawach poważnych. Działania zaczepne zaczynają się już w godzinach południowych na oświetlonym tarasie restauracji „Stambui”, której właścicielem jest jakiś Turek. Leży ten lokal nie opodal głównych mombaskich kłób sionowych przy avenidzie prezydenta Moi. Można tam wypić za pół dolara piwo albo coś mocniejszego i zaprosić do środka jedną z tych pięknych afrykańskich dziewcząt, które są grzeczne i skromne, i o których w Europie nikt by nie powiedział, że świadczą usługi na rzecz mężczyzny. Bardzo chętnie biorą je chłopaki na drinka, ale potem, kiedy czekoladka zaczyna dawać do zrozumienia, że z satysfakcją przeżyłaby jakąś większą, delikatnie płatną miłość, panowie wycofują się po ciężkiej walce wewnętrznej. Nie chodzi, rzecz jasna, o pieniądze. Chodzi tylko i wyłącznie o aida, który zabił życie rozrywkowe w Kenii i w wielu innych krajach Afryki.

Dziewczyny nie rezygnują jednakże. Drugim wartym wspomnienia lokalem Mombasy jest „Shine Shain” buda po przeciwnej stronie avenidy prezydenta, zaczynająca działać dopiero w godzinach wieczornych i kończąca program o świcie. No, kto trafi do „Shine Shainu”, nie zagna nudy! Panienki biorą się tam za goście ostro i zdecydowanie. W dwóch salach po dwie różne melodie tańczą bez przerwy roznieglizowane nastolatki, zmieniając się mniej więcej co pół godziny. Inne tymczasem podchodzą do białych mężczyzn i wyznają im miłość. Jeśli chcesz, jedna z drugą bardzo chętnie opowie ci po angielsku dzieje swojego żywota i od razu uderzysz w płacz. Najdziwniejsze jest to, że one zazwyczaj nie kłamią. Rzeczywiście mają chorych w rodzinie, rzeczywiście są zmuszone pomagać rodzeństwu i rodzicom, rzeczywiście wykorzystują je kiedyś przynajmniej w urzędzie i okłamał jakiś biały, pan. No, ale odrazy do białych panów to one raczej nie odczuwają. Biali panowie cię kojarzą im się z miłą, pozbawioną kłopotów egzystencji w chłodnej Europie albo nawet tu, w Kenii, ale żeby nie trzeba było tyrać. Owszem, wypić i zapalić, to one bardzo lubią krecenie tyłkiem też nie sprawia im nadmiernej przykrości, najgorszym przekleństwem jest natomiast praca fizyczna, której trzeba się imać, aby dorobić do kurestwa, bo z zawodowej prostytucji nie utrzyma się nawet piękność. Zawodowa prostytucja skończyła się bezpowrotnie w chwili, kiedy odkryto wirus tego strasznego choróbka. Jest niby sposób, aby zachęcić klienta, zatem: przekonać go, że nie ma strachu. Pokazują dziewczuchy, nawet wtedy, gdy nikt ich o to nie prosi, zaświadczenia lekarskie, że są zdrowe, ale taki papier nabyć można u lekarza-szarlatana za dziesięć—dwadzieścia dolarów, czy też sfalszować go. Każda ma taki papier za stankiem albo w torebce, no i wymachują nim przed nosem podnieconych facetów którzy trzymają się jednak dzielnie i tylko beznadziejnie urznięci osobnicy biorą się na hak, aby potem przeklinać tę chwilę i przeżywać miesiącami strasliwa twórcę.

Trzecim lokalem, który został przypadkiem odkryty przez pewnego amerykańskiego marynarza, jest „Toyz” bar asy tuowany na piętrze murowanego budynku w bocznej uliczce niedaleko avenidy prezydenta. Koneserzy zgodnie przyznają, że żaden inny bar w Mombasie nie może konkurować z

„Toyzem”, a to z tego powodu, że są tu najgorętsze dziewczyny i najmniejsze piwo. Kto nie był w „Toyzie”, nie ma w ogóle zielonego pojęcia, ile powabów może zaoferować Mombasa i to bez konieczności udawania się do drogiej „Floridy”, bądź też sławnej podmiejskiej restauracji „Bora-Bora”.

— Witajcie, chłopcy! — wrzeszcza od progu dziewczęta. Potem masz je na kolanach, na brzuchu; zalecają się do ciebie, dranie tak serdecznie i z takim entuzjazmem, że po pięciu minutach jesteś zakochany i dalbyś sobie łeb uciąć, że one naprawdę cię pragną. I najgorsze jest to, że nierzadko reakcje są autentyczne. Można to porównać do reakcji muzyka, który wykonuje swój zawód niechętnie, wyłącznie niaby dla pieniędzy, ale w momencie, kiedy brak pieniędzy, kiedy nikt nie najmuje go nawet do najpodlejszego płatnego grania, zaczyna rzepolić za darmo, urodził się bowiem po to, żeby grać. Większość tych dziewcząt urodziła się natomiast po to, żeby sprzedawać swoje ciało i skoro nikt go nie chce kupować, gotowe są puścić je w ruch bez oglądania się na zapłatę. Zniemawidzony zawód, nad którym wylewa się morze łez, zaczyna nagle uwodzić i pociągać. Dzisiaj musi zrealizować jakoś swoje potrzeby seksualne, więc lasi się do białego mężczyzny jak najczulsza kochanka.

Ten paskudny żul z Białegostoku nie był wcale jedynym mężczyzną, któremu cudowne Keniaki zaoferowały darmowe łupu-cupu. Sledziłem na stoliku przy barze, piłem piwo i słuchałem dialogu między urzędnym w cztery stodoły Norwegiem a uroczą Mulatką. On mrużył swoje skandynawskie białorzęse oczy i nie kępując się bynajmniej, rzywał na cały głos:

— Za darmo? Moja sperma nie jest za darmo! Nie potrzebuję, żeby moje dziecko pasło tutaj kozy i skakało po drzewach.

— Ale, kochanie, ja nie chcę mieć z tobą dziecka — mówiło spokojnie dziewczę i glaskało Norwega po udach.

— Gadanie! Moje dziecko wyglądałoby jak biały człowiek, a ty czerpałabyś z tego korzyści.

— Nic podobnego! Ani mi w głowie zajmować się teraz jakimś bachorem. Białe — nie białe, ja mam dopiero szesnaście lat. Zamierzam trochę posmakować życia.

— Akurat ze mną?

— Z tobą.

— Czemu?

— Poćbasz mi się.

— Bo jestem tak cholernie bładny? — dopytywał podejrzliwie Norweg, a ona, ani trochę nie speszona, tłumaczyła mu bez ogródek:

— Czuję, że jesteś mój rozmiar. Przeżyjemy razem pięćnaście minut.

— W hotelu, za który będę musiał bułić, a recepcjonista odpali ci później dole?

— W żadnym hotelu.

— A gdzie?

— U mnie w domu.

— Mieszkasz sama?

— Z rodziną.

— I co na to tatuś i mama. Wyjdę z łóżka, a oni poderzną mi gardło.

— Uciekasz się.

— Zartujesz?

— Mówię prawdę.

„Toyz” huczy od mechanicznej muzyki. W dwóch zawieszonych nad ziemią kłatkach, podobnie jak w „Shine Shainie”, tańczą na zmianę rozebrane piękności. Jest to taniec gwałtowny, erotyczny, służący jednemu tylko celowi: podnieść gościa.

Słychać ochrypiły, gardłowy szepł Amerykanina, którego facjata świadczy o niezliczonych, nie zawsze zwycięskich bójkach, po których musiał zapewne często zmieniać zdjęcia w paszporcie:

— Ona się onanizuje!

— A co ty myślał, kolego?!

— Klasa!

— Piętnastka.

— Biorę ją!

Wówczas kumpel powstrzymuje go popularnym na świecie porzekadłem:

— If you think that fuck is funny, fuck yourself and save your money.

Na parkiecie w orgii dyskotekowych świateł trwa orgiastyczny taniec tłumy — tańczą w zwarciu, na dystans, samotnie; trą się brzuchami, ściskają, całują, macają.

— Towar pomocany należy do macandera — oświadcza z właściwym Polakowi poczuciem humoru jakiś mikrus.

— Zobacz!

— Gdzie?

— Tam!



Rys. Janusz Szymański-Glanc

Reporter „Odgłosów” pisze z Kenii

Krach seksualny w Mombasie

ANDRZEJ MAKOWIECKI

— Co?
— Dwóch pedałów uderzyło w ślinę.

— W „Toyzie” nie toleruje się pedałów.

Jakby na potwierdzenie tych słów, cioty zostały brutalnie rozłączone przez dwumetrowego portiera i wykopane na bruk.

Pijani i rozbawieni mężczyźni mają ten zwyczaj, że chętnie wędrują od knajpy do knajpy w poszukiwaniu nowych, mocniejszych wrażeń, ale muszą uczciwie powiedzieć, że w wypadku „Toyzu” reguła ta nie zdaje egzaminu. Nie ubywa pijanych mężczyzn a przybywa. O północy wszystkie stoliki zajęte; o tym, żeby docisnąć się do bufetu, nie ma mowy; nie ma również mowy o tym, żeby weisnąć się na par-

kiet, więc ludzie stoją, sledzą albo leżą na podłodze, a jak ktoś chce zaczerpnąć świeżego powietrza, to wychodzi na taras.

Na tarasie jest luźniej i właśnie tu odbywa się kuszenie Adama.

— Pocałuj mnie!

To ona mówi, nie on. Dygoczący ze zdenerwowania i podniecony równocześnie Europej-

ki, więc ludzie stoją, sledzą albo leżą na podłodze, a jak ktoś chce zaczerpnąć świeżego powietrza, to wychodzi na taras.

Na tarasie jest luźniej i właśnie tu odbywa się kuszenie Adama.

— Pocałuj mnie!

To ona mówi, nie on. Dygoczący ze zdenerwowania i podniecony równocześnie Europej-

czyk, umyka z ustami, na których ona zawisa tak czy owak.

Kilku facetów uległo. Zapłonowała owa szczególna, pełna napięcia eliza.

— Och!

— Ach!

Jęki i szlochy.

Garbaci, kalecy, brzydecy panowie trafili na parę godzin do raju. Ale z zasady urodziwe dziewczyny garną się do urodziwych facetów. Świadczy to o tym, że ich zepsucie jest stosunkowo niewielkie. Chęć miłości; pieniądze są na drugim planie.

Steward z kanadyjskiego statku opuszcza lokal w towarzystwie tak pięknej Somalijki, że to w ogóle nie mieści się w głowie. Dziewczyna ma bajecznie długie nogi i bajecznie długą szyję, zwieńczoną szlachetnym obliczem pełnokrwistej księżniczki. Może naprawdę jest księżniczką, ale skoro tylko zamknęły się za nią drzwi, dziewczęta uderzyły w lament:

— Szkoda chłopaka!

— Syj!

— Tryper!

— Koinierz hiszpański!

— Spokojna głowa, dziewczyno!

— osadza je inny Kanadyjczyk. — Mojemu kolecie nie już nie jest w stanie zaszkodzić. Mój kolega jest niewleczalnie chory.

— Na co? — pytają.

— Na aids.

— Aids to ona ma już od czterech lat — odcinają się dziewczęta.

— Jakos tego nie widać.

— Idź z nią, to zobaczysz.

Murzyn, który podsiuchał ten dialog, ów ogromny dwumetrowy drab wykopujący na ulęg pedałów i sprawujący nadzór nad prawidłowym funkcjonowaniem lokalu, zebrał kilka dziewczyn do kupy i piorąc je z zimnym okrucieństwem po pyskach, udzielił im, nie pierwszy raz zapewne, lekcji pogładowej.

— Flądry! — syczał. — Niegodziwe kreatury! Jak długo jeszcze mam wam tłumaczyć, że w „Toyzie” nie mówią się o chorobach. W „Toyzie” wszystkie jesteście zdrowe, a jak jedna chłopnie coś z szadzoci na drugą, to psuje ogólny interes i ja przez was, kurwy przeklęte, pójdę z torbami. Zrozumiano?

— Zrozumiano!

— No to do roboty! Wolno wam walczyć między sobą o klienta, ale w duchu szlachetnej, sportowej rywalizacji. O! Imptada! A jak nie, to nie wpuszczaj na salony!

W „Toyzie” mężczyźni plażą za wstęp, a dziewczyny wchodzi bez biletu i muszą smarować za ten przywilej kierownictwo lokalu. Ich dochody są jednak sporadyczne i mizerne. Żyją chwilą. Wszystkie pałają i piją wiedząc szybko w atmosferze zadymionych pomieszczeń. Gdyby miały na samolot czy statek i przyjechałyby, dajmy na to, w jednej skromnej sukience do Polski, zrobiłyby bez wątpienia błyskawiczną karierę — powychodziłyby za mąż lub zakonwiczły się w eleganckich lokalach.

Słizacz, osiemnastoletnia Kikujaska poczyniła Polakowi taką propozycję.

— Zabierz mnie stąd.

— Gdzie?

— Do swojej ojczyzny.

— Ale ja mam żonę i dzieci, kochana.

— A coż to szkodzi? Będę pracować. Będę sprzątała, a wieczorem wyjdę, zarobię i oddam ci co do grosza.

— Czyli zostalibyś sutenerem?

— Ona patrzy na Polaka i mruży ze zdziwienia pięknymi oczyma.

— Jakim znowu sutenerem?

— Nie wiesz, co to jest sutener?

— Wiem. Sutener to jest ojciec albo najstarszy brat. Jak zarobię, mam obowiązek im płacić.

— I uważasz, że to jest słuszne?

— Oczywiście.

Zal mi ich. Rzadko lituję się nad prostytutkami, ale tych dziewcząt naprawdę mi żal. Mam gorące, niczym niezaschwieane przeświadczenie, że w sprzyjających warunkach większość z nich mogłaby jeszcze teraz zostać cudownym materiałem na wierne żony, troskliwych matek i gospodarne panie domu. Te dziewczęta mogłyby być wycieńczeniem strudzonego wojownika, który musi walczyć o byt w środkowoeuropejskim kraju, a kiedy wraca po pracy w domowe pielesze, wita go w progu skwaszone babisko i syczy zjadliwie:

— Znowu piłeś, bydlaku!

„(...) po wizycie u p. Marzyńskiego dowiedzieliśmy się, że nie dostaniemy żadnych dokumentów po tym kursie. Tak więc mamy dużo nieprzyjemności i stracony rok (...).

Po prostu zostaliśmy oszukani (...)

Po zebraniu, które odbyło się na terenie ośrodka, do pracownicy kuchni szef powiedział: — Jeszcze raz zrobicie kurwy zebranie, to was za dupy wypierdalam przez okno. Ja sobie sam wszystko zrobię, a wy się możecie nawet powyższać (...).

— Są to fragmenty listu, jaki 18 października 1989 r. przyszedł do redakcji, a który okazał się wierzchołkiem góry lodowej, której cały kształt i rozmiary być może udostępnił Czytelnikom „Odgłosów” szefowie spółki „Międzynarodowe Towarzystwo Gospodarcze Turystyka-Rekreacja”.

Kto im zapłaci za stracony czas?

Spółka z pełną nieodpowiedzialnością

BOGUMIŁ A. MAKOWSKI

Jego powstanie anonsował na łamach „Tygodnika Kulturalnego” Krzysztof Mielnicki („Nie boję się konkurencji” TK 23 kwietnia 1989) przedstawiając Wojciecha Marzyńskiego, właściciela prywatnego biura podróży „TOUR RETOUR” jako mesjasza polskiej turystyki skromnie jednak twierdzącego:

— Z całą pewnością nie zdolam jednak wypierać z rynku potentatów. Mogę natomiast uszczknąć co nieco z ich stanu posiadania.

I rzeczywiście, 22 czerwca 1989 r. słowo spółka się stało — Międzynarodowe Towarzystwo Gospodarcze „Turystyka-Rekreacja” spółka z o.o. w Łodzi rozpoczęła swój prawny żywot. Prezydentem — tak się tam ponazywali — został Wojciech Marzyński. Gospodarczą działalność rozpoczęła spółka 5 lipca 1989 r., lecz już wcześniej — w czerwcu, dokonano otwarcia przejętego przez spółkę ośrodka wypoczynkowego, kiedyś należącego do Łódzkiej Zakładów Remontowo-Montażowych Przemysłu Lekkiego.

Po raz pierwszy kontrolę stanu sanitarnego w ośrodku pracownicy Terenowej Stacji Sanitarno-Epidemiologicznej z Sieradza przeprowadzili w początkach lipca. Brak w oknach siatek zabezpieczających pomieszczenia kuchenne przed owadami, uszkodzone urządzenia chłodnicze, nieczysta maszyna do mycia naczyń i naczynia ze śladami poprzednich potraw, to tylko niektóre wredne figury w rozpoczętym, a trwającym przez całe wakacje, kontroldanym Sanepidu z kuchni. Wyjeżdżając, panie inspektorki zainkasowały dwa mandaty za brud, zaś do Sanepidu w Sieradzu został wezwany Marek Bartel — ówczesny dyrektor ośrodka. Ponieważ w szkolnej skali ocen dwójka byłaby zbyt wysoką notą za stan sanitarny kuchni, panie inspektorki skierowały do Państwowego Wojewódzkiego Inspektora Sanitarnego z siedzibą w Zduńskiej Woli wniosek o unieruchomienie ośrodka — hotelu „TR” w Burzeninie-Antoninie.

Drugi nałot Sanepidu z Sieradza był 20 lipca 1989 r. Tym razem stwierdzono „tylko” brak dokumentacji żywnościowo-magazynowej i żywnościowej. Pan Marek Bartel miał się zgłosić „na dywanik” w wojewódzkim szefostwie Sanepidu, ale to wezwanie, podobnie jak pierwsze — zlekceważył. W dwa dni później w teren ruszyli stróż czystości ze Zduńskiej Woli i do Burzenina przyjechali akurat wtedy, kiedy w kuchni ośrodka były brudne okna, mu-chy i wilgotne naczynia, co też jest karygodnym niedbalstwem. Tylko jeden mandat. Zapewne tak dobry stan sanitarny pomieszczeń kuchennych spowodował, że Państwowy Wojewódzki Inspektor Sanitarny nie chcąc komplikować życia zespołowi hotelarsko-rekreacyjnemu i sprawiać mu kłopotów z zapewnieniem wypoczynku w innym miejscu turystom, którzy zapłacili za wczasy w hotelu „TR” wziął na siebie

odpowiedzialność za zdrowie wczasowiczów odpoczywających w brudnym ośrodku spółki i nie nakazał zamknąć ośrodka.

Trzecia i czwarta sieradzka kontrola czystości przyniosła w sumie pięć mandatów za — między innymi — brudne talerze, zepsute towary i brak książki kontroli sanitarnej. Również Sanepid w Zduńskiej Woli wzbogacił się o kilka mandatów, jakie płacili pracownicy ośrodka odpowiedzialni za jego stan sanitarny.

Nie są to wszystkie grzechy, jakie popełniono w Burzeninie-Antoninie. W sieradzkim tygodniku „Nad Wartą” z 8 czerwca 1989 roku, a więc na dwa tygodnie przed zarejestrowaniem i niemal miesiąc przed rozpoczęciem działalności, ukazało się ogłoszenie, w którym „Międzynarodowe Towarzystwo Gospodarcze Turystyka-Rekreacja” spółka z o.o. w Łodzi uprzejmie zawiadamia, że z

wanego na początku listu. Do podpisów zostali kursantów dołączyło dwanaście podpisów kobiet pracujących w hotelu „TR”, a którym najbardziej doskwierały chamskie odzywki Izzydora Sliwy i niedotrzymanie obietnicy podwyżek.

Kiedy „delegaci” wrócili do Burzenina największy wicherzy-ciel został wezwany do pani dyrektora, która mu oświadczyła, że nie ma po co pokazywać się w ośrodku, bo już w nim nie pracuje. W krótki czas potem reszta kursantów dowiedziała się, że kurs został rozwiązany i mogą wracać do domów. Na takie dictum dwie dziewczyny prosiły dyrektora Halinę Kowalów o wydanie świadectw pracy, lecz wszystkie zabiegi okazały się daremne.

W Burzeninie-Antoninie pechowo najpierw natrafiłem na Izzydora Sliwę. Po kilkunastu minutach do recepcji-kawiarni

przyszły niemal wszystkie panie, które podpisały list. Zamiast usłyszeć spodziewane rewelacje, zobaczyłem przestraszonych oczu coraz odwracające się w stronę stojącego opodal szefa kuchni zwanego tutaj powszechnie kierownikiem. Podobno problemy zostały załatwione, zaś szef stał się wzorem dżentelmena, który nauki jak postępować z kobietami pobierał u uwodzicielskich Francuzów.

W ośrodku przebywa dwóch kursantów. Nie są jednak pewni czy dostaną jakieś papiery, nie wiedzą na jakiej zasadzie pracują, a zostać postanowili za radą rodziców. Przemek i Radek również nie mieli tęgich min i wielkiej chęci do rozmowy. Mimo wszystko udało mi się dowiedzieć, że w ciągu 4 miesięcy kursu więcej było robót porządkowo-malarsko-budowlanych niż związanych z nauką zawodu. Z zajęć przygotowujących zapewne do zawodu gastronomii było obieranie przez chłopców ziemniaków — 1 miesiąc i trochę prac przy przygotowywaniu posiłków. O zachowaniu „kierownika” Izzydora Sliwy nie mieli już tak dobrego zdania jak ich starsze koleżanki.

Na moje stwierdzenie, że po liście do redakcji jednak coś się w ośrodku zmieniło Izzydor Sliwa odpowiedział, że obiecanie podwyżki były już dawno, tylko „głupie baby same nie wiedzą za co biorą pieniądze. A robić to im się nie chce i przez cały czas siedziałyby bez roboty”. Dalej szef kuchni zaskoczył mnie mówiąc, że w ośrodku jest tak jak było. Rozmowę na temat swojego zachowania chciał zakończyć stwierdzeniem: „załóżmy, co kto uważa za chamsko”, jednak kiedy zacząłem cytować ustępy listu dotyczące jego osoby postraszył mnie „spotkaniem na stronie”.

Po wszystkich informacjach wysłał do pani dyrektora Haliny Kowalów, z którą mimo dwukrotnego bywania w ośrodku i prób kontaktu telefonicznego nie udało mi się spotkać i porozmawiać o czynieniu dobra. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że po pierwszej wizycie w zespole hotelarsko-rekreacyjnym dowiedziałem się z kół dobrze poinformowanych i bliskich kablowi telefoniczemu, iż pani dyrektor Halina Kowalów zabroniła wpuszczać dziennikarzy na teren ośrodka.

Shukając i wędząc dalej trafiłem do Kuratorium Oświaty i Wychowania w Sieradzu. Tam dowiedziałem się, że kurs jest ze wszech miar nielegalny, a Kuratorium dowiedziało się o nim zupełnie przypadkowo. Inspektor do spraw kształcenia zawodowego miał ode mnie więcej szczęścia i dostał zaszczęty konwersacji z panią dyrektorem — niestety, nie chciała mu się przedstawić, podobnie jak Izzydor Sliwa odmówił odpowiedzi na moją prezentację.

Po wizytacji ośrodka został w Kuratorium ślad w postaci tak zwanej notatki służbowej. Jest w niej napisane, że z treści umowy między młodocianymi

mi kursantami a spółką nie wynikają zasady kształcenia, zakres zdobywanej wiedzy i określenie przygotowania zawodowego. Pani dyrektor nie okazała także programu kursu ani osób szkolących, tłumacząc że „te sprawy prowadzi Zakład Doskonalenia Zawodowego w Łodzi”. To przykre, ale w ZDZ nic nie wiedzą o jakimkolwiek kursie w Burzeninie lub okolicach organizowanym przez spółkę „Turystyka-Rekreacja”. Ponadto wizytacja z Sieradza stwierdziła brak dokumentacji pedagogicznej. Ogromnym grzechem jest brak zgody Ministerstwa Edukacji Narodowej na działalność oświatową i niepoinformowanie Kuratorium o pozaszkolnych formach dostarczania wiedzy. I zarzut najcięższy — „brak możliwości sprawdzenia kwalifikacji kadry uczestniczącej w procesie dydaktycznym”. Kadry, której wcale tam nie ma! Po informacje w większym zakre-

sie Halina Kowalów odsyłała do byłego dyrektora ośrodka w Burzeninie teraz szefującego sieradzkemu oddziałowi spółki — Marka Bartla.

Do Marka Bartla miałem nieco więcej szczęścia. Jednak on chciał mi się zaprezentować jako informacyjna dziewczina w sprawach ośrodka. Nie dość, że nie wiedział nic — tak przynajmniej twierdził — o tym co dzieje się w Burzeninie, to również nic mu nie było wiadomo o kontrolach Sanepidu w ośrodku i o tym, że był wzywany do stacji sanitarno-epidemiologicznych. Ostatnie stwierdzenie Marka Bartla „obciążone” jest takim samym ładunkiem wiarygodności, jak prawda pani Haliny Kowalów o ZDZ — pan Marek Bartel po kilku wezwaniach wysuchał „kazania” w Zduńskiej Woli.

Mnie natomiast pan Marek Bartel zarzucił brak humanitaryzmu — on biedny, po zawale, a ja męczę go trudnymi pytaniami o firmę, której dobre imię nie go nie obchodzi.

W poszukiwaniu działu kadr na ulicy Łokietka szczęście również mnie nie opuszczało i po kilku chwilach znalazłem się na pięterku budowanych pawilonów handlowych. Miejsce doskonale zamaskowane brakiem jakiegokolwiek szlaku na murze czy jakiegoś drogowskazu. Od pani kadrowej dowiedziałem się, że wszyscy kursanci, którzy wyjechali z ośrodka, porzucili pracę. Przy okazji wyszło na jaw, że w dziale kadr sieradzkiego oddziału spółki nie ma pełnej dokumentacji osób pobierających nauki — bardziej życia niż zawodu.

Kiedy w siedzibie spółki przy ulicy Jana Matejki w Łodzi poprosiłem o wyjaśnienie kilku faktów z burzliwej historii kursu na hotelarza, gastronomię i kelnera spytałem mnie:

— A o jaki kurs chodzi? Zarząd spółki, oprócz rzecz jasna Wojciecha Marzyńskiego, nie wiedział nic ani o ogłoszeniu w „Nad Wartą”, ani o kursie, zaś wszystkie sprawy związane z kursem „przeszły” przez ręce prezydenta Marzyńskiego. On również swoimi figurami obstarwił personalną szachownicę w Burzeninie.

10 listopada 1989 r. walne zgromadzenie spółki odwołało Wojciecha Marzyńskiego ze stanowiska prezidenta, został również zwolniony z pracy w spółce, lecz nie za wyczyny w Burzeninie, a inne przewinienia.

Niedługo półmetek roku szkolnego, młodzi ludzie zamiast siedzieć w szkolnych ławach siedzą w domu. Oszukani, okradzeni z czasu nie mają teraz żadnych szans na rozpoczęcie nauki w jakiegokolwiek szkole. Kto im zapłaci za stracony rok młodego życia, za 365 dni, które ktoś im wyrzucił w błoto.

GRZEGORZ
GAŁASIŃSKI
PREZENTUJE:



13 grudnia



Gdyby w centrum Łasku nagle trysnęła ropa albo spadł na miasto złoty deszcz, fakty te nie zbulwersowałyby tak miejscowej społeczności jak uczyniła to, podawana z ust do ust, sensacyjna wiadomość, że nauczyciel uczący fizyki w Zespole Szkół Ogrodniczych zmuszał swoje uczennice do odbywania z nim stosunków picinowych w zamian za „dostateczny” na świadectwie. Nauczyciel ten uczy w tej szkole od wielu lat, a więc — rozumajcie ludzie — przez te lata zapewne wymuszał na dziewczętach posłuszeństwo i uległość. Ile dziewczyn na to się godziło? Przecież kilka roczników od dawna opuściło szkołę, rozpoczęły pracę we własnych gospodarstwach, powychodziły za mąż, są matkami.

Zawrzało przeto w mieście, zagotowało się w okolicznych wsiach, a także i w tych odległych, skąd przyjeżdżały dziewczęta na naukę do ZSO! Być może oprócz dyplomu wywiozły stąd dodatkową wiedzę, nie objętą programem nauczania, mimo że zdobywały ją od doświadczonego pedagoga, znanego mężczyzny w sile wieku, dwukrotnie starszego od każdej z nich.

Zawrzało i wrze nadal. Od nauczyciela — zostało to zakreślone w naszym społeczeństwie — wymaga się czystości moralnej i rodzice posyłają swoje dziecko do szkoły, a priori obdarzając wychowawcę pełnym zaufaniem. Zresztą autorytet, jakim cieszy się nauczyciel, jest bezsporny i nie podlega zachwianiu. Jest to u nas adnotacja prawdziwość, gdyż „takie będą Rzeczypospolite, jakie będzie młodzieży chowanie”. I nagle taki pasztecik! Nauczyciel wykorzystuje seksualnie swoje uczennice!

Teraz, kiedy w Łasku o niczym innym się nie mówi, a ciągle komentuje ten fakt, rodzi się wiele pytań, na które stara się odpowiedzieć prokurator rejonowy Marek Ruszkowski, a które zapewne padną także w czasie rozprawy sądowej. Dla mnie najważniejszym pytaniem jest następujące: czy naprawdę nikt z licznej rzeszy pedagogów pracujących w Zespole Szkół Ogrodniczych nie wiedział i nie widział? Jak to jest możliwe, że przez tyle lat zaściankowemu Casanovie udawało się ukrywać swoje obsesje? Czy naprawdę nie znalazła się ani jedna dziewczyna, która by zaprotestowała publicznie przeciwko tego typu praktykom?

Pytań jest wiele, wiele jeszcze zrodzi się w trakcie zbierania materiału dowodowego. W tej chwili organy ścigania wykonują olbrzymią pracę chcąc dotrzeć do dziewcząt, które od dawna odeszły ze szkoły, a których uczył fizyki ów Don Juan.

Wszystko się zaczęło zwyczajnie i prosto. Oto do Wojewódzkiego Urzędu Spraw Wewnętrznych w Sieradzu zgłosiła się uczennica klasy drugiej ZSO, rocznik 1972 — nazwijmy ją Anetą B. — i powiedziała co następuje:

— Od września 1987 r. jestem uczennicą ZSO, gdzie uczęszczam do tej pory. Jestem uczennicą klasy o kierunku ogrodnictwa. W szkole tej z nauką nie miałam w zasadzie większych problemów poza przedmiotem mechanizacja, z którym w roku szkolnym 1987/88 miałam duże problemy i w rezultacie nie zdałam do następnej klasy powtarzając rok szkolny. Była to druga klasa. W roku szkolnym 1988/89 zaczęłam mieć kłopoty z przedmiotem fizyka, której nauczał nas pan nauczyciel. Jak sama osądzam, nie zawsze oceny niedostateczne, jakie otrzymywałam, wynikały z mojej niewiedzy, lecz ze stanowiska, jakie wobec mnie przyjął pan nauczyciel. Od uczennic ze starszych klas wiedziałam już wówczas, że ten nauczyciel wystawiając mi oceny niedostateczne z nauczania przez siebie przedmiotu nie robi tego bezcelowo, lecz nie chciałam wówczas wierzyć w krążące po szkole pogłoski, że ocenami ustawał on sobie wybrane przez siebie uczennice, aby następnie wykorzystać je seksualnie...

Tak więc posypały się dwójce. Jedną po drugiej. I choć Aneta B. prace klasowe pisała poprawnie, zadania rozwiązywała dobrze, to przecież dwójce sypały się niczym prezenty ze zgiegu obfitości. Jasno zdawała sobie sprawę z powagi sytuacji: przecież „zawaliła” już z mechanizacji, a gdy dojdzie niedostateczny z fizyki, wówczas jej los będzie nie do pozazdroszczenia. A tu w maju — a więc niemal w przededniu zakończenia roku szkolnego — pan „od fizyki” urządził kolejny sprawdzian. Aneta B. przygotowała się solidnie, zadania — tak się jej zdawało — zrobiła dobrze, ale nie mogła pozbysć się obawy, że i tym razem otrzyma dwójce. Przeczucie jej nie zawiodło: niedostateczny. Była zalamana. Podczas przerwy podeszła do nauczyciela i zapytała, dlaczego postawił jej taki stopień.

— Nie domyślasz się?
— Nie.
— Naprawdę?
— Naprawdę, bo przecież zadania zrobiłam dobrze...
— Nie bądź głupia. Przyjdź do mnie na przerwie do domu, to ci wytłumaczę.

Nie miała wyjścia. Było to 31 maja 1989 roku.

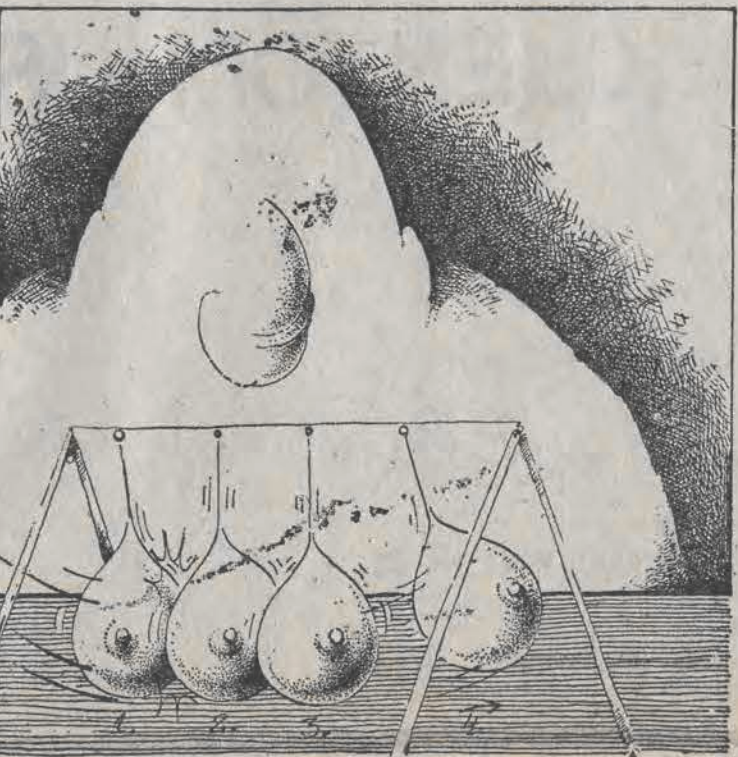
Podczas kolejnej przerwy z ciężkim sercem przemierzyla przestrzeń dzielącą budynek szkolny od domu nauczyciela. Zapukała. Nauczyciel otworzył i zaraz zamknął jej na klucz. Zanim Aneta B. zdążyła się rozzejrzeć, nauczyciel już schwytał ją w ramiona.

— Co pan!?
— Cicho bądź, to ci nic nie zrobię.

ŁASK: Nauczyciel wymuszał uległość uczennic za dostateczny stopień z fizyki

Trójka za dziewictwo

BERNARD KOWALSKI



Rys. Dariusz Romanowicz

kręcił klucz w zamku. A potem bez słowa poprowadził do sypialni. Dziewczyna dziś niewiele pamięta z samego rozkładu mieszkania, z jego umeblowania, natomiast na zawsze pozostał w jej pamięci nie zaścielony tapczan, na który nauczyciel ją popchnął. Zaczął się rozbrajać i gdy pozostał jedynie w majtkach, zaczął rozbrajać Anetę B. Całował ją... Broniła się. Był jednak silniejszy. Ciągłe mówił o tej nieszczęsnej trójce z fizyki, o zbliżającym się końcu roku. W końcu siłą zmusił ją do uległości.

To był pierwszy mężczyzna w jej życiu!

Nie, nie płakała, czuła jedynie wstręt. Nauczyciel ubierając się, zagroził, by nikomu o tym, co się stało, nie mówiła, bo przecież będzie jeszcze chodzić do szkoły w roku przyszłym.

Potem, w dni następne, nauczyciel polecał, aby przychodziła do niego co dzień, lecz Aneta B. zawzięta się: niech się dzieje co chce, ale nie chce przeżywać po raz drugi tego samego.

Na świadectwie Aneta B. ma z fizyki „dostateczny”. Czy to jest ocena za jej wiedzę z przedmiotu nauczanego przez nauczyciela, czy też za satysfakcję, jakiej doznał?

Po wakacjach nauczyciel nie zapomniał o swojej uczennicy. Wówczas Aneta B. poszła na milicję.

Machina sprawiedliwości ruszyła. Zaczęto przesłuchiwać inne dziewczęta, te ze szkoły i te, które ją opuściły kilka lat temu. Ale te, które założyły już rodziny, jeśli nawet przyznają się do kontaktów z nauczycielem, to w żadnym wypadku — przynajmniej większość z nich — nie chcą o tym mówić publicznie. Przecież są zameżne, mają rodziny, co by powiedzieli mężowie, jak by zareagowali? Czy jedynie poprzysięgliby zemstę nauczycielowi, czy też porzuciłyby żony, które niegdyś dla uzyskania stopnia „dostateczny” z fizyki ulegały zachciankom pana nauczyciela?

Przy okazji dziewczęta mówią o sprawach, które daleko wy-

kraczają poza stosunek ucznia — nauczyciela. Oto były zatrudniane do prac na działkach nauczycieli, w ich ogrodach, na ich polach, sprzątały im mieszkania. Były to prace gratis i nie było od nich odwołania. Dużą aktywność przy zatrudnianiu dziewcząt wykazywała żona pana nauczyciela, także nauczycielka w tymże Zespole Szkół Ogrodniczych. Bywało też i tak, że przed szkołą „zajeżdżał” osobowy samochód, czasem furgonetka i dziewczęta musiały jechać do kogoś, kogo nie znaly i dotąd nie widziały na oczy. Pracowały w ogrodzie, w sadzie, w polu. Za darmo. Potem przywożono je z powrotem.

W toku przesłuchania dziewczęta chętnie mówią o praktykach wakacyjnych, które odbywają w NRD lub w Czechosłowacji. Oto w lipcu — sierpniu 1987 roku przebywały we Frankfurcie. Po zakończeniu, dwaj nauczyciele — opiekunowie grupy, pobrali od każdej z dziewcząt po 200 marek. Do dziś dziewczęta nie wiedzą dlaczego i po co? Zresztą podobnie było także i w ubiegłym roku, w czasie wyjazdu do Czechosłowacji, kiedy to od każdej żądano po 50 koron. Na co i dlaczego?

Osobną sprawą są „prezenty” dla nauczycieli. Zainteresował mnie szczególnie jeden z tych prezentów: powtarzał się on często i zawsze był taki sam: pół litra. Dawano przeważnie przed egzaminem, bo wówczas jeden z nauczycieli stawał się łagodny i spoglądał na wszystko przez palce (należałoby chyba powiedzieć: przez zamglone okulary!).

Myszę, że prokurator rejonowy w Łasku jeszcze długo będzie miał ręce pełne roboty, gdyż to, co dotąd udało mu się ustalić, to być może zaledwie wierzchołek góry lodowej. A nauczyciel? Siedzi i pisze rozpaczliwe prośby o zwolnienie go z aresztu z uwagi na bardzo zły stan zdrowia.

Łódź: historia, wspomnienia, relacje

Jutro Wicków nie będzie!

ADAM OCHOCKI

Najpierw, jako siedmioletni brzdąc, zaśmiewałem się do łez na splaskiwanych, pełnych gagów, farsach filmowych z Macka Sennettem w roli głównej. Potem roześmiałam się elegancko, z białą chusteczką w butonierce, wspinał się komik Max Linder.

— Max Linder i jego cylinder! — wołałbym w zachwycie.

Po nich na ekrany kin wkroczyli w triumfalnym marszu, podbijając serca publiki: Buster Keaton o kamienną twarz, której nigdy nie okraszył najłżejszy uśmiech i jego żywe przeciwieństwo, śmiejący się przy łada okazji od ucha do ucha Harold Lloyd w rogowych okularach i uchomanym kapeluszu, nieśmiertelny Charlie Chaplin w meloniku, karykaturalnie szerokiach, postrzępionych spodniach, z nieodłączną laszczką trzcinową, i wreszcie dwie pary wesołków — Stan Laurel i Oliver Hardy, znani jako Flip i Flap, oraz — Pat i Patachona.

Już samo zestawienie każdej z tych par pobudzało do śmiechu na zasadzie kontrastu. Wysocki, gruby Hardy i niski, szczupły Laurel, a w drugiej parze nierozłączków na odmiennie — wysoki, chudy Pat i mały grubasek Patachona. Obydwa duety zaważowały świat. Nakreślono z nimi niezliczone filmy, wydrukowano komiks, wyprodukowano tasiemcowe filmy rysunkowe, które chętnie zamieszczały gazety i czasopisma.

Na Pata i Patachona polakomili się też wydawcy naszej porannej „Republiki” i „Expressu Ilustrowanego”. Łódzkie popołudniówki, w której w r. 1931 wystartowałem jako reporter, pracując tam do wybuchu wojny.

Filmy rysunkowe z Patem i Patachonem, powielane na tekturowych, zielonych matrycach, rozsyłała odbiorcom agencja duńska. Zarządzeniem szefów obaj komicy oddabiali ostatnią stronę niedzielnych wydań „Expressu”. Wszystko o to tak po maśle, aż tu nagle — kłops! Matryce duńskie utknęły gdzieś po drodze. Jak wyświadczyć bez Pata i Patachona? Co będzie z niedzielnym „Expressem”?

Już nie pamiętam, kto wpadł na ten pomysł — redaktor Władysław Polak z „Expressu”,

czy Marian Oltaszewski z „Republiki” — obaj naczelni byli w gabinecie, gdy wszedł ścigający na gwałt nasz rysownik, redaktor Wacław Drozdowski.

— Narysujesz Pata i Patachona. Na całą stronę. Tylko żeby było wesoło i coś się działo. I pamiętaj — oni muszą być podobni do oryginałów, czytelnik nie może się niczego domyślić!

Wacek trafił w dziesiątkę. Jego Pat i Patachona do złudzenia przypominali pierwowzory, a przystoję, w jaką ich wpłatał, skrzyła się humorem. Toteż gdy nadeszła wreszcie przesyłka z Danii, szefowie z niej zrzędnowali. Odtąd już Wacław Drozdowski stale rysował Pata i Patachona do „Expressu”. A że apetyt rośnie w miarę jedzenia, wydawcy wypuścili specjalny tygodnik dla młodzieży „Karuzela”, poświęcony w całości filmom rysunkowym. Koronną pozycję stanowił Pat i Patachona w wykonaniu naszego mistrza.

Po wywołaniu, gdy Wacław Drozdowski wrócił z odlotu do Łodzi, redaktor Konstanty Bogusławski ścignął go do wznowionego przez siebie „Expressu” i polecił reaktować dawnych bohaterów. Wacław Drozdowski ochrzcił ich po polsku: Wicek i Wacek, zmodyfikował ich figury, małemu dorobił kokieteryjną rzęsę, chudemu wydłubił portki, Wicekowi włożył na głowę cyklistówkę, Wacekowi maciejówkę i przywołał do życia na łamach popołudniówki.

Przez kilka miesięcy, do grudnia 1946, „Express” drukował okupacyjne przygody Wicka i Wacka, potem Drozdowski sprowadził swych bohaterów do Łodzi, ulokował ich na Widzewie w domu przy ul. Antoniewskiej 16 — i włączył w nurt codziennego życia miasta. Zmieniło się to film i występujące osoby. Miejsce gestapowców, kapo, szpuzi zajęli nowi bohaterzy — pp. Sobek, Hipolit Szaberski, Paskarski, a także pozytywni — Dozorca, Literat, Hipek.

I wszystko byłoby cacy, gdyby nasz kochany mistrz nie robił rysunków do filmu z dnia na dzień i to na ostatnią chwilę, gdy cały materiał redakcyjny czekał na wysłanie do drukarni.

O zrzędnowaniu z tej pozycji nikt nawet nie myślał. Byłymi święcie przekonani, że „Express” bez Wicka i Wacka to makulatura, ludzie nie kupią takiej gazety! Toteż łatwo sobie wyobrazić moje przerażenie — zasiadłem wtedy w fotelu sekretarza redakcji — gdy któregoś dnia wysłano do Wacława Drozdowskiego gońcę redakcyjny wrócił z pustymi rękami i obwieścił:

— Jutro, Wicków nie będzie. Pan rysownik leży chory!

Działo się to zimą 1947. Szalejąca śnieżnica i grypa sparaliżowały życie miasta, przeszedłszy personel redakcji. Z tekstami dałem sobie jakąś radę, ale przecież „Express” nie może wyjść bez codziennego filmu!

Nasz woźny, p. Franciszek Zdziechowski, podpowiedział, żeby dać rysunki sprzed kilku miesięcy, czytelnicy się nie polapią. Koleżanka z działu ogłoszeń doradziła pociąć stare klisze na cztery części i z tych ćwiartek zmontować jakąś trzymającą się kupy całość. Do północy łamałem sobie głowę jak wybrnąć z sytuacji, a nazajutrz, 21 lutego 1947 (dobrze pamiętam tę datę!) na trzeciej stronie od góry, gdzie zawsze ukazywały się przygody Wicka i Wacka, czytelnicy zobaczyli cztery puste, białe kwadraty w ramkach, a pod nimi dialog:

WACEK: Ratuj! Tutaj...
WICEK: Idę do ciebie, tylko strasznie mi ciężko, stało się coś złego...
WACEK: Ojej! Duszę się!
WICEK: Podaj mi rękę!
WACEK: No i co?
WICEK: Trudno, będziemy czekać, aż nas odkopią, jesteśmy zasypani śniegiem!

Czytelnicy śmiali się, nie wiedząc jak bardzo nam się chciało płakać. Najśmieszniejsze zaś w tej historii, że Wacław Drozdowski... zainkasował honorarium za puste kwadraty.

Tymczasem stos klisz filmu rysunkowego rósł i rósł. Co zrobić ze starymi, wykorzystanymi płytkami metalu, pod ciężarem których niepokojąco trzeszczy podłoga? Wpadłem na pomysł: zainstaluje ten złom powędruje do kotła, wybiorę kilkadziesiąt klisz z najzabawniejszymi przygodami wisuwów, napiszę do tego rymowane teksty i wydawnictwo Wacku i Wacku. Oczywiście do spółki z Wacławem Drozdowskim.

Po kilku wieczorach żożne dzieło dobiegło końca i podpisałem umowę wydawniczą. Na Boże Narodzenie 1948 r. album znalazł się w kioskach w łącznym nakładzie czterech milionów egzemplarzy i znikł jak kamfora. Dla uczczenia tego faktu redakcja „Expressu” urządziła grand zabawę w Helenowie. Wystąpili aktorzy przebrani za bohaterów filmu, mówiący ich językiem. Ubaw był po pachy. Zaproszony na imprezę Adolf Dymyza pokładał się ze śmiechu.

A w dwa lata później nasza redakcja okryła się żałobą. 31 lipca 1951 r. odszedł od nas na zawsze Wacław Drozdowski, mój przyjaciel i współnik. Jego śmierć poza uczuciem powszechnego żalu wywołała wśród nas panikę. Zagrożony został dotychczasowy profil gazety. Wicek i Wacek tak się z nią zrośli, że wprost nie mogliśmy sobie wyobrazić „Expressu” bez ich obecności. O przerwaniu filmu nie było mowy, ale kto ma robić rysunki?

Zaproponowałem grafikowi — Stanisławowi Gratkowskiemu i Jerzemu Jankowskiemu, działającym w spółce autorskiej IBIS. Próba generalna nie wypadła najlepiej. Wacław Drozdowski był mankietem, a grube i cienkie kreski wychodziły zupełnie inaczej w zależności od tego, czy rysuje się prawą, czy lewą ręką. Czytelnicy bardziej obeznani z techniką rysunku doszłoby mistyfikację.

Jerzy Jankowski znalazł wyjście. Wykonał rysunek normalnie w ołówku, odwrócił go do góry nogami i pociągnął tuszem, co dało pożądany efekt. Skrupulatnie graficy zastosowali jeszcze jeden manewr. Półgą powierzchnię czterech kwadratów wypełnili kratkami i moźnolnie przenosili z pokratkowanych rysunków Drozdowskiego fragmenty kreski, dzięki czemu co do joty utrafił w proporcje sylwetek bohaterów filmu. Z czasem doszli do takiej wprawy, że tylko biegly sądowy mógłby zakwestionować autentyczność dzieła Drozdowskiego.

Wicek i Wacek zostali uratowani! Prezentowali się w popołudniówce do września 1953 r., kiedy to nastąpiła fuzja „Expressu” z „Dziennikiem Łódzkim” i druk filmu przerwano.

Nad moją głową przemknęło dalszych trzydzieści sześć lat. Zdążyłem oświecić, przejść na emeryturę. Fotel redakcyjny zamieniłem na wygodniejszy, domowy, w którym mieszkam z moimi wnukami. Jeden z nich zapytał:

— Dziadziu, a dlaczego nie wydrukujesz znovu tego dawnego albumu? Dzieci by się ucieszyły...

Propozycję wnuka przedstawiłem Krajowej Agencji Wydawniczej w Łodzi — i już niebawem album trafi do księgarni i kiosków. A ponieważ technika drukarska poczyniła znaczne postępy, dawne czarno-białe rysunki czytelnicy obejrzą w atrakcyjnych kolorach. Myszę, że mój zmarły Przyjaciel, autor tych ilustracji, Wacław Drozdowski, na pewno by się uradował widokiem wznowionego dzieła.

Łódź
LOTNISKO
LUBLINEK

tel 87 09 14
tx 885419 tfx 812889

dedal
spółka z o.o.

OFERUJE

SZANOWNYM KLIENTOM USŁUGI

W ZAKRESIE:

- organizacja imprez weselnych
 - organizacja bankietów i wszelkiego rodzaju imprez zankniętych
 - dysponujemy 45 miejscami hotelowymi i organizujemy:
 - kolokwia
 - szkolenia
- obsługujemy zarówno grupy turystyczne, jak i gości indywidualnych.
- Ponadto jako pierwsi w Polsce organizujemy:
- szkolenia pilotażu samolotowego (186 godzin zajęć teoretycznych, 50 godzin zajęć praktycznych)
 - cena w rozłożeniu na raty 15 mln zł
 - międzymiastowa komunikacja lotnicza (maksymalnie 3 pasażerów, 1 godzina lotu — 350 000 zł)
 - loty turystyczne nad Łodzią
 - loty nad lotniskiem dla odważnych

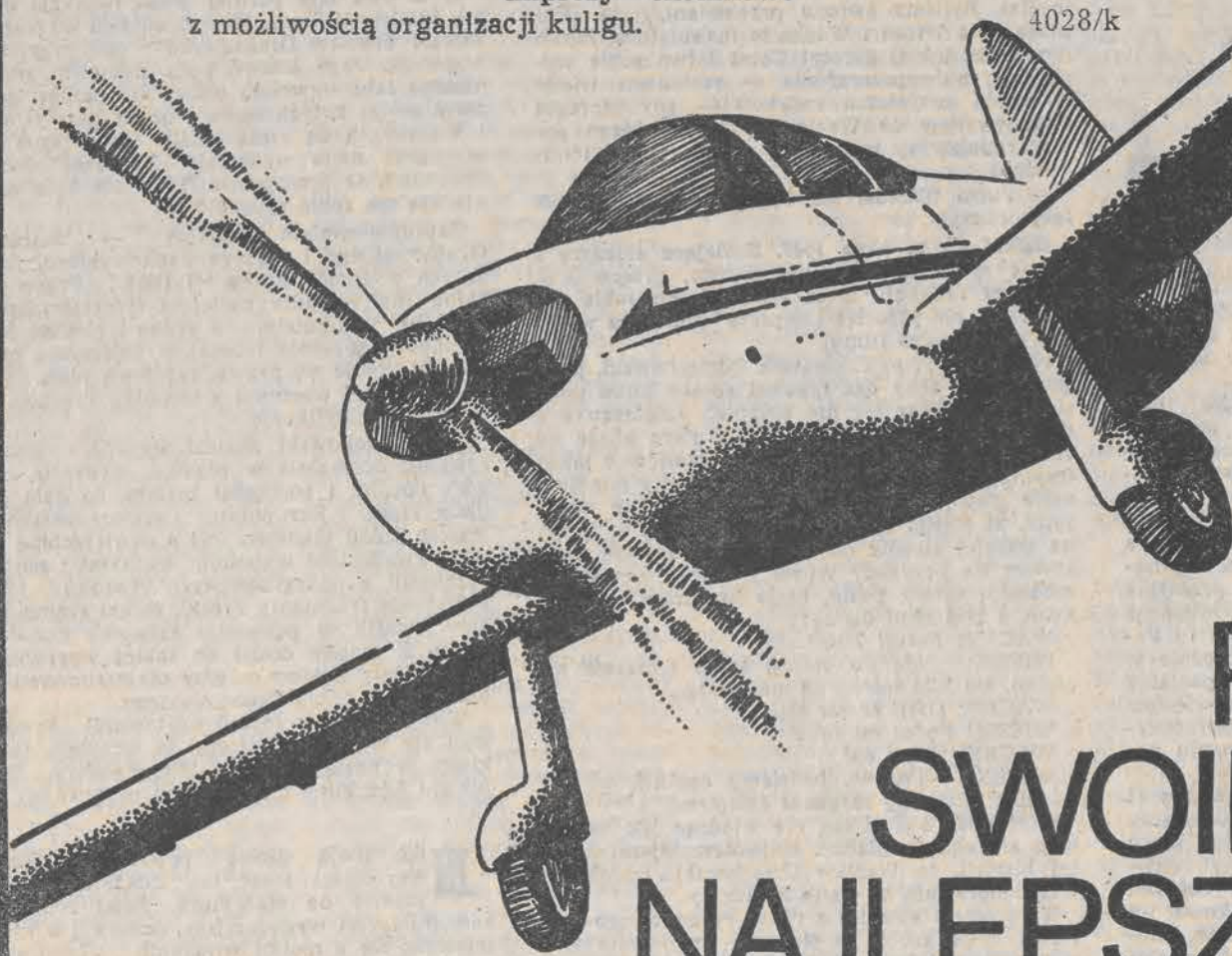
Z A P R A S Z A M Y

NA BAL SYLWESTROWY 1989/90,

organizujemy także dla zakładów pracy
imprezy choinkowe

z możliwością organizacji kuligu.

4028/k



firma
„dedal”

PRZEKAZUJE
SWOIM KLIENTOM
NAJLEPSZE ŻYCZENIA
NOWOROCZNE

